

# BLUSZCZ

*Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiecy*

ROK LX

WARSZAWA, DNIA 29 STYCZNIA 1927 ROKU

NR 5

TREŚĆ NUMERU: Wielkie gmachy czy małe domki — *a. n.* Przeciw żebractwu — *Z. Zawiszancka*. Zróżniczkowanie się typu kobiecego po wojnie — *C. Walewska*. Wiersz: „Meduzy” — *Marja Pawlikowska*. Ludzie nie są tacy żli (nowela) — *Wanda Miłaszewska*. Jak słońce spija rosę (opowieść) c. d. — *Helena Ceyringerówna*. Z muzyki stołecznej — *J. R.* Z działalności kobiet w stolicy — *Andrea*. Kobieta w świecie i w domu — *Z. B.* Książki nadesłane. Z teatrów — *Z. P.* Sztuka rozróżniania starych fajansów i porcelany. O wnętrzach mieszkaniowych — *Zygmunt Knothé*. Skromny obiad proszony — *Pani Elżbieta*. Kursa naukowej organizacji gospodarstwa kobiecego — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty”: Dla naszych dzieci — *Well*. Dodatek powieściowy: „Trzy kobiety annamickie” — *C. Chivas-Bazan* (tłum. *Dr. M. Kastarska*). Arkusz wzorów.

## WIELKIE GMACHY CZY MAŁE DOMKI

Dzienniki warszawskie doniosły, że magistrat zamierza w roku bieżącym przystąpić do budowy pewnej liczby kompleksów domów, podzielonych na małe dwu i jedno pokojowe mieszkania, zaopatrzone we wszystkie współczesne urządzenia dla wygody gospodarstwa domowego. Przewidziane są nadto pewne ubikacje wspólne, przeznaczone na łazienki, pralnie, sale zabaw dla dzieci i t. p. Jest to niewątpliwie zbawienny wpływ przykładu, jaki daje całemu światu Wiedeń.

Delegaci naszej zaniedbanej stolicy, jak wiadomo, brali udział obok przedstawicieli wielu innych narodowości w kongresie mieszkaniowym, który odbył się w Wiedniu we wrześniu roku ubiegłego i połączony był z wystawą mieszkaniową. Musieli oni być uderzeni nie tylko tem, co im wykazała wystawa i ogłoszone na kongresie referaty. W tych bowiem wypadkach, gdy widzimy własne zaniedbanie na tle postępu i dostatku innych, szczęśliwszych narodów, aż nadto łatwo możemy znaleźć wytłumaczenie dla siebie w naszych, istotnie ciężkich, warunkach gospodarczych i kredytowych, w niedawno przeżywanym inflacji, w ubóstwie całego społeczeństwa i poszczególnych warstw jego... Ale oto Wiedeń przeżył i wciąż jeszcze przeżywa losy niemniej trudne. Ze stolicy wielkiej monarchji Austro-Węgierskiej, której kraje zacofane i mało uprzemysłowione były rynkiem zbytu dla wyrobów fabrycznych Czech i Wiednia, dostarczając mu wzamian produktów żywnościowych — z serca olbrzymiego, wszechstronnie rozwiniętego organizmu, który

napędzał do niego soki ożywcze, stał się Wiedeń powojenny ciężarem, niedostosowanym do sił maleńkiej, okrojonej Republiki Austrjackiej. Stąd brak zbytu, bezrobocie, nędza mas, kryzys i zastój w przemyśle, a obok tego inflacja z wszystkimi klęskowymi jej objawami i wreszcie sanacja waluty przy upokarzającej pomocy Ligi Narodów.

A jednak ten sam zubożały Wiedeń nazajutrz po stabilizacji pieniądza zdołał w ciągu trzech lat wybudować około 30.000 (trzydzieści tysięcy), małych mieszkań, które stanowią znakomity dowód niespożytych sił żywotnych tego wesołego, pozornie lekko-myślnego ludku. Wyłącznie oparłszy się o środki, dostarczane przez podatek mieszkaniowy, zarząd miasta wystawił na jego peryferjach szereg wielkich kamienic, a właściwie kompleksów gmachów, dowodzących dbałości o wygodę, higienę i nawet piękno. Są to monumentalne domy, w których właściwa budowla zajmuje tylko połowę placu, dzięki czemu każda ubikacja wewnątrz niej ma zapewniony swobodny dostęp światła słonecznego. Druga połowa połączonych placów, przeznaczona na podwórze, pokryta jest skwerem z trawnikami, klombami, alejami i placami zabaw dla dzieci. Najmniejsze mieszkanie złożone są z jednego pokoju, przedpokoju, wygodki i kuchni, zaopatrzonej w piecyk gazowy. Większe mieszkania liczą dwa, lub więcej pokojów. W każdym mieszkaniu jest oddzielny wodociąg i światło elektryczne. Kilka takich przylegających do siebie budynków posiada wspólne sale, w których mieszczą się: czytelnia

pism i biblioteka dla lokatorów, ochronka, niekiedy żłobek dla niemowląt.

Przypominamy te szczegóły, które już parokrotnie na łamach naszego pisma były poruszane, jako powtórzenie lekcji pogładowej, udzielonej przez Wiedeń wszystkim miastom, posiadającym zagmatwaną, trudną do rozwiązania kwestję mieszkaniową. Dla Warszawy, której stosunki mieszkaniowe kształtowały się na podłożu bezprzykładnego braku wymagań pod tym względem we wszystkich warstwach jej mieszkańców, przy paraliżującym wszelki wysiłek prywatny braku i drożyznie kapitału i przy przysłowiowym już niedołęstwie władz miejskich, dzieła Wiednia pozostaną jeszcze nadługo w sferze ideału. Biorąc jednak rzecz bezwzględnie, ze stanowiska wymagań angielskich, naprzykład, wyżej opisane mieszkania muszą być uznane za niedostateczne pod względem rozmiarów, a przede wszystkim za nieodpowiednie z powodu skupienia, jakie stanowią kilkopiętrowe kamienice, w których się one mieszczą. Właściwym dążeniem każdej rodziny pozostaje dziś — jak przed wiekami — możność zajmowania oddzielnego domku. Wszędzie, dokąd dotarła kultura angielska, a i gdzieś indziej — w troskliwie pomyślanych i przeprowadzanych planach naprawdę uspołecznionych zarządów komunalnych, lub pracodawców, budujących domy dla swych pracowników i robotników, wreszcie w mniej lub więcej oderwanych pragnieniach inteligentnej klasy średniej — mały dom dla pojedynczej rodziny — jest uważany za jedynie właściwy. Gmina wiedeńska wybudowała 3½ tysiąca takich domków w pewnej odległości od centrum miasta, oczywiście zapewniwszy ich mieszkańcom dogodną komunikację. Całego jednak planu rozbudowy nie odważyła się dostosować do tego typu, z powodu stosunkowo nadmiernych kosztów budowy. Niemieccy architekci obliczają, że koszt jednego mieszkania w domu czteropiętrowym (z parterem) wynosi 11.000 marek, w trzypiętrowym — 11.800, w dwupiętrowym — 13.000, w jednopiętrowym — 15.300 marek. Jak widzimy, koszt mieszkania rośnie progresywnie, w miarę zbliżania się do upragnionego jednopiętrowego „osobniaka“. Najtaniej wypadają mieszkania w gmachach sześciopiętrowych, i to wliczając już urządzenie dźwigów, różnica zaś w kosztach mieszkań przy sześciu, lub pięciu piętrach, jest bardzo nieznaczna. Jest to względ przeważający tam, gdzie potrzeba większej ilości nowych mieszkań stała się palącą: lepiej dać dobre warunki większej liczbie rodzin, niż doskonałe — małej! garście szczęśliwców.

A jednak, o ileż bardziej pociągający od takiego mrowiska, nawet najwłaściwiej i najstaranniej wybudowanego, lecz mieszczącego w sobie setki rodzin, jest jakieś miasto-ogród pod Londynem, Brukselą, lub Stuttgartem. Domki w tych osadach wyglądają niepozornie — w Stuttgarcie, naprzykład, są drewniane, a zawsze przedstawiają się bardzo skromnie i prosto, jeżeli nie są willami ludzi bogatych, lecz przeznaczone są na mieszkania urzędników, robotników, handlowców. To jednak nie znaczy, że domki te muszą być małe i zawierać dwa, lub trzy pokoiki. Bynajmniej: Frankfurt nad Menem oto za pośrednictwem zorganizowanego w tym celu towarzystwa akcyjnego pobudował, specjalnie przeznaczone dla rodzin licznych, osiedle Hohenblick, złożone z 80 domków, z których każdy obejmuje 4, lub 5 pokoiów i kuchnię, prócz innych ubikacyj gospodarskich. Miasto dopłaca ze specjalnie na ten cel przeznaczonego funduszu do komornego, które przy takich rozmiarach mieszkań musi być względnie wysokie. Ale na takie dopłaty może sobie pozwolić tylko bogaty Frankfurt.

Dla miast uboższych, dla których już samo stworzenie środków komunikacyjnych dla tych rozrzuconych na większej przestrzeni osiedli stanowi ciężar bardzo poważny, pozostanie koniecznością porzucenie na domach wielopiętrowych. Okazuje się, że i takie domy mogą dostarczyć godziwego schronienia ludziom, nawet nie tak, jak my, upośledzonym pod względem mieszkaniowym. Czechosłowacja poszła po tej drodze i osiągnęła w krótkim czasie znakomite rezultaty.

Dla Warszawy zaś można uważać za szczyt pragnień stopień, osiągnięty już przez Wiedeń, lub Czechy. Wprawdzie urzędnicy i oficerowie pobudowali sobie z kredytów państwowych paręset domków jedno lub dwurodzinnych na Żoliborzu, na kolonjach Staszica i Lubeckiego, na forcie mokotowskim. Osiedla te wszakże przedstawiają się przeważnie ubogo i niesolidnie, a kosztowały drogo. Czas byłby nauczyć się oszczędzać „nawet“ pieniądze państwowe.

Być może zresztą, że przy wielkiej obfitości taniego i własnego drzewa opłaciłoby się u nas stawianie niewielkich domków drewnianych, wzorem Stuttgartu.

Dlaczegoż w tej sprawie, tak żywej, nie zabierają głosu ani specjaliści z przedsiębiorstw budowlanych, ani zarząd miejski, ani prasa stołeczna, lub prowincjonalna? Mogłoby się zdawać, że w Polsce nic niema do powiedzenia o tem, jak umieścić olbrzymie rzesze rodzin, dla których należałoby stworzyć określenie „wstydzących się bezdomności“. a. n.



Z. ZAWISZANKA

## PRZECIWIW ŻEBRACTWU

Wszystkim ciałom dajcie chleba.  
Wszystkim duszom — myśli z nieba!  
Z. Krasieński.

W samem zjawisku żebractwa tkwi jakaś ohyda moralna, z którą zdrowa dusza nie może poprostu się pogodzić. A wyczuwa ją nietylko w fakcie odwoływania się do litości publicznej, ale i w nieodłącznym odeń, ostentacyjnym wystawianiu na pokaz najjaskrawszej nędzy, kalectw przeróżnych, a często i pobożności, kłamanej przeważnie.

W naszych oczach, w biały dzień, na ulicach, dziady klepią pacierze, aby dostać „za to” od przechodnia kilka groszy. Różni nicponie krępują sobie i wykręcają ręce, lub nogi, aby udawać inwalidów — a prawdziwi inwalidzi wojenni, przemocą losu wepchnięci w jeden z nimi szereg, staczają się do ich poziomu. Cóż dopiero mówić o matkach, co umyślnie głodzą i w różny sposób pobudzają do płaczu swe niemowlęta, aby zwrócić uwagę jakiejś przechodzącej pani?!

To wszystko są okropności, ponizające godność ludzką, nadające naszemu krajowi cechę barbarzyństwa! A my to znosimy biernie i biernością swoją sankcjonujemy ten stan rzeczy, hodujemy tę nieszczęsną kastę, która w społeczeństwie cywilizowanym nie powinna istnieć wcale.

Marząc o sprawiedliwości socjalnej, nie umiemy zdobyć się tymczasem na inną jakąś, celowszą formę dobroczynności, niż bezmyślne rzucanie groszy do pierwszej lepszej wyciągniętej dłoni. Czy się one obrócą w rękę obdarowanego w chleb i dach, czy w środek do pijaństwa, włóczęgi, lub zbrodni nawet, o to nie pytamy, to nas nie obchodzi,

Ci, co pytają, co nie wahają się wkroczyć ze światłem w te ciemne zaułki życia — ci, co szczerze i mocno pragną nieść prawdziwy ratunek — zbyt są nieliczni u nas, by przełamać ogólną obojętność. A może przecie uda im się kiedyś coś uzdrowić, coś racjonalnie zorganizować?...

Taka właśnie grupka ludzi poczęła działać w Krakowie przed dwoma laty.

Należy podkreślić, że nie składa się ona z osób doświadczonych, obeznanych w wielu życiowych przejściach z nędzą ludzką — to młodzież uniwersytecka, skupiona w Chrześcijańskim Związku Akademików (Ch. Z. A). Młodzież, która, ukochwawszy ponad wszystko jasną postać Boga-Człowieka, postanowiła iść za Nim, nie kontemplacją, czy obrzędami, lecz czynem każdego dnia. A za czyn najpilniejszy

uznała w swem sumieniu zwalczanie żebractwa, jako zjawiska w życiu zbiorowym, nasilniej przeciwnego miłości bliźniego.

Pracę rozpoczęto od zbierania informacji u działaczy społecznych i od zwiedzania wszystkich zakładów dobroczynnych w mieście. Rozesłano też odpowiednie kwestionariusze do wszystkich instytucji tego typu; uzyskany tą drogą materiał statystyczny pozwolił zorjentować się mniejwięcej, co stworzyła do tej pory filantropja krakowska.

Okazało się, że nędzy jest bardzo dużo, że nie brak też szczerych starań o zaradzenie jej — lecz wszystko utyka na braku funduszy, a raczej bezmyślnem trwonieniu ich na jałmużnę uliczną. Ona to popiera, a nawet niekiedy wzbogaca różne podejrzane indywidua, podczas gdy przytuliska sieroce ciągną swój nędzny byt z dnia na dzień, zagrożone ciągle upadkiem.

Chcąc koniecznie skierować ofiarność społeczeństwa w inne, lepsze łożysko, zwróciła się młodzież Ch. Z. A. z wygotowanym szczegółowym memorjałem do władz miejskich, wojewódzkich, kościelnych, szkolnych i policyjnych. Do ogółu społeczeństwa zaapelowano, rozsyłając w setkach egzemplarzy specjalną ankietę przedstawicielom wszystkich warstw. Ankieta owa była zarazem jakby odezwą, stawiającą przed oczy poważny problem, zmuszającą do namysłu nad nim; dołączono do niej zaproszenie na zebranie obywatelskie, które miało postanowić o losach akcji i program jej ustalić.

Na tem zebraniu (w kwietniu 1925 r.), dość licznem i poważnem, oświetlili inicjatorzy ideowe swe założenia i plan praktyczny, dając materiał do ożywionej dyskusji. Program podobał się wszystkim i wszyscy obiecali współpracę. Zebranie wyłoniło komitet, złożony z przedstawicieli władz, obywatelstwa i młodzieży akademickiej, z prezydentem miasta na czele. Był to niezmiernie ważny krok naprzód w realizacji śmiałego planu.

Komitet podzielił się na szereg sekcji (doraźnej pomocy, skarbową, propagandy, rejestracji, budowy domu pracy) i rozpoczął swą funkcję. Niestety jednak polega ona w praktyce tylko na ustosunkowaniu się do faktów dokonanych, na krytycznem rozważaniu pomysłów tej samej garstki ludzi, co akcję całą rozpoczęła. Ale i to, bierne raczej poparcie, jest dla niej dużem ułatwieniem, usuwa bowiem wiele przeszkód i toruje drogę w opinii publicznej.

Pierwszy, przejściowy etap akcji, to wprowadzenie znaczków po 2 i 5 groszy, w zastępstwie ulicznej

jałmużny. Czy to firmy, czy osoby prywatne zaopatrują się w nie u Komitetu i rozdają potem żebrakom, zamiast drobnych datków. Za kilka takich znaczków może każdy otrzymać ciepły i zdrowy posiłek w jadłodajniach S. S. Miłosierdzia i S. S. Albertynek, na dwóch przeciwnych krańcach miasta.

Kongregacja kupiecka poparła tę nowość gorąco; niektóre firmy pośpieszyły z wydatną pomocą i radą — lecz ogół pozostał jeszcze na uboczu, patrząc z wycofaną ironją, co to z tego będzie.

Magistrat wziął się do wypełniania swych obietnic, wypłacając na początek 500 zł. zapomogi; co więcej, otworzył dla Komitetu lokal swego Biura Ubogich, gdzie od początku 1926 r., zaprowadzono dyżury; dał woźnego do pomocy i pozwolił korzystać ze swojego Biura Prasowego. Odtąd w dziennikach krakowskich ukazują się co kilka tygodni sprawozdania o rozwoju i pracach komitetu, a po sklepach i tramwajach widnieją wezwania do kupowania znaczków.

W jadłodajniach, kontrolowanych stale przez Komitet, poczęto wydawać, od maja, prócz obiadów (2 pożywne dania à 32 gr.), także śniadania i kolacje, które można również zabierać do domów. Charakterystyczne jest, że opinia zawodowych żebraków zwróciła się zrazu gwałtownie przeciw temu urządzeniu: wszędzie słyszało się utyskiwania, że za daleko chodzić, że jedzenie niesmaczne i t. p. — a czasem nawet padały przekleństwa pod adresem kierowników akcji... Niektórzy z obdarzonych ostentacyjnie rzucali na ziemię znaczki, dając tem dobitne świadectwo, że miłosierdzia właściwie nie potrzebują.

A jednak frekwencja w kuchniach wzrasta stale: do dnia 15 października, czyli w ciągu 8 miesięcy, wydano posiłków ogółem za sumę 4041.50 zł., czyli pożywiono około 20,000 prawdziwie głodnych. Obecnie stołuje się ich stale mniej więcej 150-u.

Pozatem Komitet stara się także dostarczać odzieży (zbierając i sortując niepotrzebne ubrania),

a nawet pomagać w wyszukiwaniu pracy, co oczywiście następcza trudności największe. Bilans jego kasowy, choć skromny, może imponować tem, że po opędzeniu wydatków pozostał jeszcze, zamiast zwykłych w podobnych okolicznościach niedoborów, fundusz prawie 700 zł. na dalsze przedsięwzięcia.

A mają one być liczne i celowe, wedle wielkiego planu, obmyślonego już dziś w wielu szczegółach. Najbliższe zadania, przygotowywane już dziś — to rejestracja ubogich, na podstawie specjalnie opracowanych kwestjonariuszy, scentralizowanie wszelkich wsparć w Biurze Ubogich, dalsze popularyzowanie znaczków na posiłki i rozwinięcie propagandy na szeroką skalę.

Hasło jej — to wielkie domy pracy, na wzór domów „Armji Zbawienia“ w Paryżu — wielkie, a racjonalnie kierowane przytuliska dla matek z drobnymi dziećmi, dla starców, kalek i chorych. I z pewnością nie jednego tylko Krakowa tyczy się ten program, śmiały, a tak piękny. Dzielną młodzież wierzy gorąco, że społeczeństwo nasze zechce i potrafi zdobyć się na duży wysiłek w dążeniu do tego ideału — jeśli nawet pokoleniu naszemu nie będzie danem przyoblec go całkowicie w ciało.

Początek już zrobiony — idźmy tylko wytrwale dalej,

To prawda, że społeczeństwo musi się najpierw wzbogacić, aby problem żebractwa radykalnie rozwiązać; lecz niejedno da się zrobić już dzisiaj. Pamiętajmy, że wszelka siła robocza, wszelkie zdrowie i zdolności są też bogactwem narodowym — im mniej ich zmarnujemy, tem prędzej dźwigniemy się ekonomicznie.

Niema więc żadnej istotnej sprzeczności pomiędzy dążeniem do potęgi gospodarczej naszego państwa, a marzeniami tylu wielkich Polaków o nieskalanej godności człowieczej i „chlebie dla wszystkich ciał“, aby we wszystkie dusze „myśl z nieba“ zstąpić mógł!

C. W A L E W S K A

4

## ZRÓŻNICZKOWANIE SIĘ TYPU KOBIECEGO PO WOJNIE

MATKI BIURALISTKI. GŁÓD MACIERZYŃSTWA. POD HASŁEM BEZDZIETNOŚCI.

Z cyklu: „O kobiecie dzisiejszej — głosy kobiet“.

Mąż poddany pruski, albo austriacki. Wysiedlenie. Żona zostaje sama z dwojgiem, trojgiem dzieci i — z lękiem o tego, który był karmicielem i mózgiem rodziny. Co zrobi z nim Rosja, kolos — potwór, który jest, jak puszka Pandory, skąd w świat lecą plagi najsroźsze?

Szczebiot dzieci, taki zawsze radosny, wżera się teraz troską: „co będzie z niemi?“

Rok 1915. Pod Warszawą zasieki, okopy, barykady. I grzmot szrapneli. Wstaje nadzieja: „Wyjdą moskale. Wróci“...

Nie wrócił.

W drodze, na jakiejś stacyjce przed granicą polską, umarł. Pękło serce z radości, że kraj tuż, tuż, za chwilę.

Ktoś z eszelonu zawiadomił wdowę. Obeschły łyzy nagle. Tylko jedna — ostatnia — padła na dno serca, stężała. I jak mały, ostry kamyk kłuła boleśnie. I nie osunęła się w czeluście niepamięci już nigdy. Zniknął lęk. Już nie było o kogo. I nie było na kogo czekać. Tylko — co z dziećmi? Sama... Nieprzystosowana...

Otwierają się polskie ministerstwa. Dostaje posadę. Zna języki. Nauczyła się pisać na maszynie. Jest zdolna. Będzie robiła wszystko, aby tylko... W medaljonie na szyi zawieszła fotografię męża. Talizman. Da jej siłę i wiarę, że ktoś czuwa nad nią. — Zostawia dzieci pod obcą opieką. Idzie do pracy.

W biurze gwaro. Prezentują „anioły“, co mają do sprezentowania. Ponętne karczki. Wyszlifowane paznogie. Buzie i główki, jak z za szyby fryzjerskiej. Nagie powyżej ramion ręce, dekolty, spódniczki do kolan. <sup>1)</sup> Kanceliści, sekretarze, referenci częstują papierosami. Nieraz nawet sam pan naczelnik. Siada na brzeżku stołu „anioł“. Pali. Kusi cieniutką, jedwabną pończoszką. Półśłówka. Dwuznaczniki. W kącie, za szafą z aktami, próba shimmy.

A matki — biuralistki stukają w maszyny, sprawdzają akta, wciągają w dzienniki, prawie nie podnosząc głowy. Czasami tylko szybkie spojrzenie na zegar. Południe. Czy dzieci już nakarmione? Ania czy wróciła ze szkoły? Maciuś czy nie spadł z krzesła i nie rozbił główki? Ten żywiec...

Trzeszczy maszyna. Przewijają się w palcach papiery.

Ankieta biurowa z pierwszych lat istnienia polskich ministerstw wykazała, że kobiety starsze, utrzymujące rodzinę, pracują najgorliwiej, najsumiennie. Najmniej opuszczają dni pracy w biurze.

Eszelony z lat wojny rozwierały karty coraz straszniejszych tragedij. Zwoził pociąg za pociągiem rozbitków, oniemiałych z trwogi, rozszarpanych w sobie, struchlałych, wymęczonych, głodnych. Znamy ich z „Przedwiośnia“ i z „Burzy od Wschodu“. Były żony, które nie wiedziały, gdzie ich mężowie? Zabici pod ścianą i w gromadny trupi dół wrzuceni. czy giną po plugawych więzieniach, zjadani przez robactwo, zarazę, niechlujstwo?

W śnie głębokim, czy w hipnozie monoidei doszła jedna z nich nocą do drzwi ciepłuszki. Już odsuwała twarde rygle. Już w pełnym biegu pociągu miała wyskoczyć na białe śnieżne pole, bo tam być musiał jej mąż — gdy chwyciły ją i odciągnęły ręce zbudzonego ze snu towarzysza podróży. <sup>2)</sup> W kącie wagonu spała dwunastoletnia jej córeczka. Chwila jedna, a mogła zo-

stać sama na świecie. Wracaly żony samotne. Wracaly wdowy, którym kazano patrzeć na katowanych, aż do utraty zmysłów i zabijanych pod ścianą mężów. W dusze zbolełe, w mózgi, od wstrząsów tragicznych nieprzytomne, uderzało twarde, jak cięcie biczem, pytanie „co będzie z dziećmi?“...

Matki — żywicielki, dana wam tylko troska macierzyństwa. Nie zaznajecie radości zabawy z własnym dzieckiem i tych lubych pogwarów, niby o niczem, a o wszystkim. Bo pytające oczy dziecka otwierają się na każdą zjawę świata, a myśl dociekliwa i niezmordowane usteczka pytają bez końca, bez końca — pogo? — naco? — dlaczego?...

Są między wami matki, które nigdy nie miały własnych dzieci.

Jakiś ponury goniec z bolszewji przywiózł w latach okupacji wieść o śmierci brata jednej z najwybitniejszych naszych działaczek oświatowych, znakomitej siły pedagogicznej, znanej prelegentki i autorki wielu cennych prac historycznych. Wkrótce po bracie zmarła bratowa, która nie wyjechała z kraju, sądząc, iż wojna minie szybko i połączy się z mężem wkrótce.

Zostało troje dzieci — zupełnych sierot. Wzięła je do siebie ciotka, która przedtem uczyła i nauczaniem swoim wychowywała obce tylko dzieci.

Przyrosło godzin lekcji. Trzeba było rzucić umiłowane prace historyczne, dla których czasu nie stało. Z pogodą dusz, imperatywem obowiązku i ciepłem uczuć prowadzonych, podźwignęła ciężar — dla niej radosny.

Minęły lata. Dziś siostrzeńcy i siostrzenica w uniwersytecie. Dają lekcje. Sami zaczynają stanowić o sobie. Powoli, powoli wraca matka — opiekunka do swoich prac zaniedbanych. Uśmiech nie schodzi z jej ust. W białych włosach palą się płomyki zwycięskiej ofiary.

Z jakim bolesnym współczuciem patrzeć muszą słodkie jej oczy na gniazda, które osierociła nie śmierć, twarda wykonawczyni niewiadomych wyroków — lecz kaprys, chimera, głód wrażeń matki, zapędzonej w las przygód erotycznych, lub ojca, który odszedł, lub ich dwojga, którzy dla błahych nieporozumień żyć z sobą nie chcą.

\* \* \*

Gubi się życie w paradoksach.

Gdy jakaś tam latawica, nawet nie spojrzawszy za siebie, odrzuca rączkę, przywarte do ramion swoich i główkę, wtuloną w piersi, o ścianę od niej rozegrywa się dramat. Omdlewa z tęsknoty za dzieckiem pani młoda, która ma wszystko —

<sup>1)</sup> Działo się tak przed pierwszą redukcją 1923 r.

<sup>2)</sup> Dunin-Kozicka o sobie w pamiętniku „Burza od Wschodu“.



męża kochającego, względny dostatek, rozrywki, miłe otoczenie i mogłaby być szczęśliwą, ah, jak szczęśliwą, gdyby małe, niezdarne paluszki błędziły po jej piersi, czegoś szukając, a oczęta, jeszcze zamglone snem nieprzespanym, o coś pytały.

Pręży się żądzą macierzyństwa jej młode, gibkie ciało. Szłocha w niej skarga. Łamie się rozpacz. Noce bez snu. Dni w nieskończonej żałości. Modli się, składa ofiary, ale Bóg nie chce wysłuchać prośb. Chodzi po doktorach. Nie pomagają leki.

Czasami w cudzem dziecku znajdzie ukojenie. I wtedy powstają takie cudne książki, jak „Niedziela“ fińskiej autorki, <sup>3)</sup> poemat symfonia macierzyństwa, czarujący epos dziecka, o którym nie wspomniano pisma, nawet poświęcone kobiecie i dziecku.

A jeżeli po cudzem przyjdą swoje własne dzieci? Od charakteru rodziców i przybranego rodzeństwa, od wpływów otoczenia, które lubi dokuczać „przybłądzie“, zależy, czy dzieje mu się krzywda, lub nie?—

\* \* \*

Powojenna zawierucha wywołała tysiące małżeństw pod hasłem bezdzietności. Często dla braku mieszkań, braku środków, w obawie odpowiedzialności za dobre wychowanie dziecka w warunkach nieobliczalnych.

To są skrupuły poważne, i nie pusty chochoł tkwi u ich mety. Często jednak — i kto wie, czy nie najczęściej — wymachuje nad głowami państwa młodych, w chwili wyprzysięgania się dziecka, drwiąca pałeczka satyra - sybaryty.

Trzebaby wyrzec się różnych wygod. Trzebaby zapomnieć o sobie. Trzebaby... Ach, żadnych przyjemności — teatru, bywań, dancingów, kina... Dom i kołyska. Po co żyć?...

Nie chcą dzieci przedewszystkiem nasze modne panie. Zepsuć sobie figurę? — Stracić linję?

Po urodzeniu dziecka zwykle tyją kobiety. Na to obchudzała się przez cały czas panieństwa? Na to robiła pałeczkowe masaże, odprawiała głodówki, zażywała jakieś tam pigułki, zapijała się octem i gorzkimi ziółkami, sportowała, pieszo pędem biegała od rogatki do rogatki, ważyła się co kilka dni, gimnastykowała, trenowała? — Nie. Ofiary z siebie nie robi. Linji nie poświęci. — Mówią, że jest jak Psyche Burne Jones'a. Że jest najczystszy prymitywem quatro cento. Że węzowe jej ruchysa, jak muzyka. Że gra, rzeźbi, śpiewa całą sobą. Jakżeż uciec od tego? Jakżeż zadać kłam samej sobie?

Jeżeli los wyplata figla i modna pani zajdzie w ciążę, — jedyny sposób kokietować dzieckiem, jak się kokietowało linją, symfonią ruchów, gibkością ramion i bioder. Młoda matka obchudza się, jak przedtem, pałeczkuje, gimnastykuje, sportuje, waży, mierzy centymetrem objętości swoje, obciska się pasami, obmyśla fasony sukien, kolor i rodzaj nie pogrubiających tkanin. Patrzy na dziecko, jak na złośliwy koszmarn. Jednak przy ludziach uśmiecha się do niego, bo

jest pewna poezja w uśmiechu młodej matki. Bierze je na ręce i pozuje, jak do Madonny Luini'ego.

.....

Wyszła kiedyś nowela Szaniawskiego o maleństwie, które zjawilo się niepożądane. Ojciec „trałił“ z przyjaciółmi. Matka wylatywała do przyjaciółek. Każde żyło swoim życiem. „Bachor“ spadł im, jak belka, na głowy. — Ale młoda pani miała cudne, czarne oczy, w których zakochało się dziecko. Szukało ich i tęskniło za nimi. Promieniało, gdy pochyliły się nad niem.

Bywało to rzadko i tylko przy gościach.

Z wiosną, gdy słońce rozbłysło, kupiono wózek i ułożono go w nim — całego w koronkach. Matka sama powiozła go na planty. Co jakiś czas — najczęściej gdy przechodzili młodzi panowie, — pochylała się nad nim, coś przemawiała pieszczotliwie, coś poprawiała i patrzyła w niego promiennymi swymi oczami. O, jak dobrze było wtedy! — Jaka radość przelewała się w maleńkiej piersi! — Wyciągał rączki chłopczyk. Ale zjawisko pierzchało. Oczy matki szukały czegoś po za nim. I dopiero znowu, kiedy nadchodził jakiś młody elegancki pan...

Wpadła raz kiedyś przyjaciółka. Powiedziała, że rozwodzi się z mężem i weźmie ślub z innym. Namawiała młodą mamusię, żeby zrobiła to samo. Ale ona rozszlochała się i wskazała kołyskę.

— Kula u nogi....

Zrozumiało dziecko, i serduszko skurczyło się boleśnie. Nie chciało być zawadą tej ślicznej pani. Postanowiło spełnić samobójstwo. Właśnie w smudze słońca zadrgał bakcyl szkarlatyny. Otworzyły się usteczka szeroko i połknęły zarazę. — W parę tygodni potem na słupach ulic zaczerniały klepsydry: „Jedyny, ukochany synek... Pograżeni w nieutulonym żalu rodzice“...

.....

Nie pamiętam tytułu noweli. Nie pamiętam pisma, w którym wyszła. Ale wrażenie pozostało. Przypominam ją sobie wobec was, matki biuralistki, które nad Underwoodem, albo nad pliką papierów pochylacie stroskane wasze głowy i myśl niespokojną, co tam — w domu? Czy nie zachorowało które? Czy nie spadł z krzesła Tadzio niesforny i nie pobił się z Hanką, z Lesiem?

Przypominam ją sobie, gdy słyszę szloch tęsknoty za macierzyństwem. Przypominam sobie, gdy patrzę na smutne oczy staruszek, które nie mają ogniska rodzinnego i żałują nie tego, że odmówił im los męża towarzysza, przyjaciela, bo jakoś bez niego mądrze i dobrze przeszło im życie, — ale... że nie zaznały błogosławieństwa i szczęścia matki.

Życie, jakże płaczesz się i gmatwasz w labiryntach paradoksów!...

<sup>3)</sup> Ester Stahlberg. Przekład z szwedzkiego Zofji de Bondy Przedmowa Z. Dębickiego,

MARJA PAWLIKOWSKA

## MEDUZY

Bałwanek płynie jak tryton,  
A z pyszczka kapie mu ślina.  
Słońce na morze pogodnie spogląda,  
Ondulowany blondyn,  
Niebieska woda gęsta jest od ondyn.  
To meduzy w przemoczonych muślinach.  
Morze się przeciąga, rozciąga,  
Wkrótce sen południowy je zmoże...  
Miedziane rybackie żagle  
Ledwie się przez sen kiwną...  
Fale piesszczą zabawkę dziwną:  
Meduzę, kwitnące morze.  
— Raz, gdy wracałam wybrzeżem  
Patrząc uważnie dokoła,  
Bo nic już nie było na świecie  
Prócz tego, co można widzieć,  
Meduza leżała na piasku  
I czuła jak fala idzie,  
Jak jej dosięgnąć nie może  
I jak ją ku sobie woła.  
Podniosłam z piasku tę bryłkę.  
Smutną, fiołkową, kalekę,  
Oby tak ze mną uczynił  
Ten, który wszystko może,  
I położyłam na fali —  
I popłynęła daleko  
Jak dzwon radości milczący,  
Puszczony na pełne morze.

.....  
Na piasku spoczywa młodzieniec,  
Który utonął przed chwilą.  
Patrzy tępo, jak w koncert morza  
Zasłuchany, poważny muzyk.  
Obcy i zimny dla ludzi,  
Którzy mu życie przywrócić się silą —  
A usta ma fioletowe,  
Jak krzyż na ciele meduzy...



WANDA MIŁASZEWSKA

## LUDZIE NIE SĄ TACY ŻLI...

(nowela)



przedział pierwszej klasy był prawie pusty. Właściwie możnaby powiedzieć, że był zupełnie pusty, tak niewiele miejsca zajmował w nim jedyny dotychczasowy pasażer, osobnik drobny, szczupły, zasunięty w kącik pod oknem i zatopiony w lekturze.

To też nowoprzybyły podróżny odetchnął z widocznym zadowoleniem i wskazał tragarzowi siatki na rzeczy; dwie ogromne, skórzane walizy, o solidnym wyglądzie, znalazły wygodne pomieszczenie nad głową ich właściciela, który tymczasem postawił obok siebie podręczny neseserek, wydobyl z kieszeni kamizelki garść drobnej monety i ją odliczać napiwek dla człowieka w niebieskiej bluzie.

— Dziękuję wielmożnemu panu i życzę szczęśliwej drogi! — wydekłamał ten ostatni, śnać olśniony sutą zapłatą.

Pasażer z pod okna ani na chwilę nie oderwał wzroku od książki. Zdawał się tak pochłonięty czytaniem, że nawet ochryply głos tragarza nie wyrwał go z zadumy. Dopiero kiedy pociąg ruszył z miejsca, młody człowiek podniósł głowę, przetaił zapotniałą szybę i wyjrzał, jakgdyby pragnąc odczytać nazwę stacji. Przez chwilę przypatrywał się migającym słupom telegraficznym i bezlistnym konarom drzew przydrożnych, które uciekały coraz to szybciej w miarę, jak „ekspres“ nabierał rozpędu. Wreszcie — odwrócił twarz od okna i wtedy dopiero po raz pierwszy musnął spojrzeniem roztargnionem krągłą, czerwona i dobrotliwą twarz swego towarzysza podróży:

Był to jegomość już niemłody, wysoki, barczysty i szpakowaty. Ukończył właśnie uciążliwą czynność wyzwolenia swej ziemskiej powłoki z futra i — powiesiwszy je w kącie przedziału — usadowił się pośrodku ławki z wyrazem błogiego zadowolenia, które zwykle poprzedza drzemkę. Jednakże, spotkawszy wzrok młodego człowieka, poruszył się, poprawił, machinalnie dotknął ręką lewego boku marynarki, poczem, jakby zażenowany tym bezwiednym gestem, zdradzającym niepokój o pugilares, zagał rozmowę najbanalniejszym, jakby się zdawać mogło, pytaniem:

— To przedział dla palących, nieprawdaż?

— Tak jest — odparł szczupły brunecik i sięgnął po swoją książkę.

Barczysty jegomość wydobyl papierosnicę, naładowaną po brzegi, wyjął z niej papierosa, włożył go do ust i rozpoczął poszukiwania zapalek. Możnaby tu wtrącić mimochodem uwagę, że wszyscy prawie mężczyźni palący mają tę samą, głęboko zakorzenioną

wadę: nigdy nie wiedzą, do której mianowicie kieszeni schowali ostatnim razem pudełko z zapalnikami. Wskutek tego odnalezienie zguby poprzedza pewna ilość coraz szybszych i coraz bardziej nerwowych ruchów: kłapięcie po prawej kieszeni marynarki, kłapięcie po lewej kieszeni teje, kłapięcie po prawej kieszeni spodni — et caetera. Otóż szpakowaty pan, wykonawszy szereg tych ćwiczeń próbnych, doszedł do wniosku, że albo zgubił zapaliki podczas rewizji celnej, albo zostawił je w palcie i właśnie zamierzał ich tam poszukać, gdy w tej samej chwili usłyszał suchy trzask, oraz niski, przyjemny głos sąsiada, wyciągającego rękę z płonąca zapalniczką:

— Pan zdaje się nie ma zapalek. Służę.

— Dziękuję bardzo — odparł właściciel skórzanych walizek i, odwdzięczając się za uprzejmość, wydobyl znowu papierosnicę.

— Może pan będzie łaskaw...

— Dziękuję bardzo.

— Ależ...

— To w takim razie pozwoli pan, że w następnej kolejce zapalimy mojego?

— Z miłą chęcią. Proszę.

Brunecik wziął papierosa, przez chwilę trzymał go w palcach, poczem odezwał się dość obojętnym tonem:

— Szanowny pan zapewne zdaleka?

— Hm, tak. To jest... właściwie teraz jadę z Berlina.

— Szanowny pan przebywał przez czas dłuższy w Ameryce... — rzekł znowu brunet odniechcienia.

— Tamten spojrzał na niego zdziwiony.

— Istotnie. Ale skąd pan to wywnioskował?

— Poprostu z akcentu. Ja także przez czas dłuższy bawiłem w Stanach Zjednoczonych.

— Doprawdy? A w jakich stronach, można wiedzieć? Bo to, panie, rozciągliwe pojęcie. Od New-Yorku do San Francisco...

— ...I od Michigan do Texas... — wtrącił brunecik z uśmiechem.

— He he! To z pana wojażer! A w Bostonie pan był?

— Spędziłem tam rok cały na praktyce. Jako urzędnik bankowy...

— No no, patrzajcie! A dawno, można wiedzieć?

— Coś ze trzy lata temu.

— A ja trzydzieści lat mieszkałem pod Bostonem. Kawał czasu!

— Szanowny pan powraca do kraju na stałe?



— To się pokaże. Nie wiem, jak mi się warunki ułożą. Muszę najpierw odszukać rodzinę...

Urwał — i nagle dość nieufnym spojrzeniem obrzucił towarzysza. Ale tamten nie zdradzał zaciekawienia. Owszem, w tej samej właśnie chwili, podnosząc do ust papierosa, maskował ziewnięcie.

— A pan gdzie stale mieszka? — zagadnął po chwili „amerykanin“.

— Jadę teraz do Lwowa. Ale, być może, zatrzymam się w Warszawie. Pan zna Warszawę?

— Znałem. Teraz trudno powiedzieć: znam. Trzydzieści lat, panie, to nie przelewki. Wiele się zmienić musiało. Wojna, panie. Przedewszystkiem wojna. I ludzie pewnie inni, nie lepsi, a gorsi, niż byli. Wojna! Prawdę powiedziawszy, trochę się boję, że mi tu nie dadzą żyć spokojnie. Bo to, jak czytam ciągle w gazetach, nic, tylko polityka. Polityka i polityka. A ja pracować chcę, kochany panie. Pracować chcę — i basta. Tegom się przez trzydzieści lat uczył, tam, na obczyźnie, i to jedno robić potrafię.

— Nie brak i tutaj pola... — wtrącił młody człowiek, zakreślając ręką szeroki łuk.

— Słyszałem — ciągnął dalej eks-obywatel stanu Massachussets — że pole pracy duże. Mówi to każdy amerykanin, który był w Polsce. Ale dodaje, że ludzi, ludzi brak.

— Ludzi? Przecież trzydzieści milionów...

Szpakowaty jegomość machnął ręką.

— Trzydzieści milionów! A ile w tem niedołęgów, wałkoni, obieżyświatów, albo poprostu, mówiąc między nami, skończonych bandytów, złodziei... Przecież czytam ciągle, to wiem. Gazety, panie, przepelnione opisami grabieży, morderstw, oszukaństwa, złodziejstwa, plajt... A ci, co przypadkiem nie kradną, klóca się między sobą, wymyślają sobie od łotrów. Zdrajców ojczyzny, od kanalji i tym podobnych gentlemanów. Przecież gazety polskie czytam, to wiem.

Młody człowiek roześmiał się.

— A jednak wraca pan do tego kraju, między tych strasznych ludzi, których opisują gazety...

— Cóż robić, panie! Wracam. Wyjeżdżając do Ameryki miałem dwadzieścia kilka lat i serce pełne otuchy. Własna rodzina postąpiła ze mną paskudnie, najbliżsi przyjaciele okpili mię, jak lepiej nie trzeba. Ludzie, którym ślepo ufałem, wyzyskiwali mnie, moją pracę, moje dziecinne zaufanie do nich. Zrobili ze mnie prawie nędzarza. Et, co tu gadać, panie. Wyjechałem, by szukać ludzi uczciwych i pracy uczciwej, panie. Dorobiłem się, wracam z dolarami w kieszeni, ale i z przekonaniem, że łajdactwo jest wszędzie. Złodziejstwo, szwindel, a nawet ordynarna grabież czyha na człowieka na każdym kroku.

— Na każdym kroku? — podchwycił młody człowiek z ożywieniem. — To już chyba zbyt czarny pesymizm...

— Zaręczam panu, że nie — odparł szpakowaty jegomość, kiwając smętnie głową. — Życie nauczyło mię, że dziś nie można ufać nikomu. Wypróbowany przyjaciel nagle okazuje się wrogiem, a wieloletni współnik — zwykłym oszustem. Cóż dopiero mówić o nieznanym, spotykanych w przelocie...

— To mi przypomniało — rzekł brunet, powstając nagle — że nie mam jeszcze przyjemności znać szanownego pana. Piotrowski jestem.

— Niesłychane! Bo i ja także Piotrowski. Może pan z Kieleckiego? z tych samych właśnie Piotrowskich...

— Och, nie! — odrzekł z pośpiechem młody człowiek. — Moja rodzina pochodzi z Warszawy.

— Prawda, Piotrowskich jest przecież w Polsce, jak maku, — zauważył starszy pan jakby z żalem. — Szkoda. Mały włos, a okazałoby się, żeśmy krewniacy.

— Kto wie? Może i jesteśmy krewniacy... — odparł młodszy Piotrowski, sięgając do kieszeni. — Niechże pan teraz pozwoli mego papierosika.

— Dziękuję, może za chwilę. Ja nie palę tak wiele. Piotrowski! No, no... A jak panu na imię, jeżeli wolno spytać?

— Stanisław.

— Patrzcie! Miałem bratanka, Stanisława. Co prawda, nigdy go na oczy nie widział. Urodził się, kiedy już byłem w Ameryce. Teraz nie wiem nawet, co się z nim dzieje. Byłby zapewne w pańskim wieku. Stanisław Piotrowski! Inaczej — mój bratanek, Staś...

— Bardzo żałuję, że nie mam szczęścia być pańskim bratankiem — odparł z westchnieniem młody człowiek. — Od dzisiejszego dnia miałbym takiego sympatycznego stryja!

— Doprawdy? Ejże! Skąd pan możesz wiedzieć, że jestem sympatyczny? A jeśli ja właśnie jestem jakaś z pod ciemnej gwiazdy kanalja?

— Prawda... W myśl pańskich przekonań, że nikomu dziś wierzyć nie należy, mogłoby się okazać, że ja, naprzykład, jestem zamaskowanym bandytą...

— A ja kieszonkowym złodziejem, co? — zaśmiał się pan Piotrowski starszy, poczem dodał z powagą: — Tak, tak, mój panie, ten żart może być równie dobrze żartem, jak smutną prawdą. Bo jednak w dzisiejszych czasach...

— ...kiedy bandyci jeżdżą sleepingami...

— Właśnie. A na czele poważnych instytucyj stoją złodzieje... Tak, mój panie, złodzieje. Znałem jednego. Był moim szefem przez dwa lata. Koniec końców ukradł mi kaucję, jedyny kapitał, jaki naówczas posiadałem. I nawet nie siedzi w więzieniu. Buja kędyś po świecie.

— I kradnie dalej.

— Właśnie. I kradnie dalej. I to jest właśnie najstraszniejsze, że dziś trudno nawet rozpoznać takiego franta. Wygląda często dobrodusznie, pocziwie...

— Jak ja, lub pan...

— Właśnie. Jak ja, lub pan. A w gruncie to skończona kanalia. Witasz się z nim, podajesz rękę, mówisz mu „ty”—nazywasz przyjacielem, a to oszust z pod ciemnej gwiazdy, łotr, szantażysta, albo poprostu zwyczajny złodziej kieszonkowy. Zaroiła się od nich Europa, zaroiła się Polska. Nigdy nie wiemy, z kim mamy do czynienia, nie wiemy dnia, ani godziny.

— Nie wiemy dnia, ani godziny—powtórzył machinalnie młodszy Piotrowski. — No, ale nie wszyscy ludzie są źli, występni. Społeczeństwo nie składa się z samych złodziei. Oprócz kradnących są jeszcze okradani, prawda? Może pan teraz zapali?

Wydobył srebrną papierośnicę, ozdobioną licznymi monogramami i otworzywszy, podał niedoszłemu stryjowi.

— Ano, owszem zapalę. Bardzo ładna papierośnica — zauważył Piotrowski-senior.

— To podarunek moich kolegów.

— Uniwersyteckich? Pan gdzie studjował, jeżeli wolno wiedzieć?

— Potrosze wszędzie...—odparł Stanisław, ociągając się.— Wojna wykoleiła nas, młodych. Ot, tak się żyło, to tu, to tam... Niejeden porzucił studja, niejeden zmienił swój fach...

Urwał nagle i spojrzał badawczo na swego towarzysza podróży. Starszy pan Piotrowski pokiwał głową.

— Tak, tak. Wojna wykoleiła młodzież naszą. Wiem ja coś o tem. Iluż to młodych, obiecujących chłopców zmarnowało swoją karierę... Ilu z nich zeszło na manowce! Poprostu na złe drogi... Ot, mój bratanek, Staś... Przykro mi o tem mówić, ale sam nie wiem... nic o nim nie wiem i — co gorsza, rodzina także nie wie... Podobno coś tam przeszkrobał, uciekł z wojska... Słuch o nim zaginął... pewnie się chłopak zmarnował... a szkoda... Zdolny był...

Umilkł i ziewnął szeroko.

— Spać mi się chce,—zaczął po chwili—a pewno już niedługo będziemy mieli stację... Obiad wartoby zjeść... Mój panie... panie Stanisławie... Niechno mię pan obudzi, dobrze? Bo ja zazwyczaj twardy mam sen... Aaaa... I niechno pan... z łaski swojej... uważa na rzeczy... Ten nesaser, widzi pan... ten nesaser...

Nagle ocknął się, przetarł oczy.

— Co u licha? — mruknął, patrząc na młodego człowieka podejrzliwie. — Co ja tu bredzę? O czem to rozmawialiśmy przed chwilą? Taki mię nagle śpik ogarnął...

— Mówił pan o bratanku swoim, o... Stasiu — rzekł Piotrowski. — Ale proszę się uspokoić. Jeżeli nawet pan zaśnie, ja będę czuwał. Ja nigdy nie sypiam w pociągu.

— He he..., ja też... nie sypiam... zwykle. Bo to, panie, w tych czasach... bo to, panie...

Kiwnął się gwałtownie, raz jeszcze otworzył szeroko nieprzytomne oczy i zwiesiwszy głowę, usnął na dobre.

Młody człowiek przez długą chwilę przyglądał mu się uważnie, siedząc nieruchomo. Potem — odłożył trzymaną w rękę książkę. Potem — powoli wstał. Potem—pochylił się nad śpiącym i znów przez długą chwilę nadśluchiwał.

„Amerykanin“ spał mocno, snem omal że niesamowitym. Stwierdziwszy to, Piotrowski—junior szybko obrócił się ku drzwiom, wiodącym na korytarz: zamknął je od wewnątrz i zasunął firanki, poczem swobodnie, bez pośpiechu zdjął z wieszaka swoje palto, nałożył czapkę i wówczas — znowu pochylił się nad uspiętym. Szczupłe, smagłe ręce, o wydłużonych palcach, wyciągnęły się błyskawicznym ruchem ku pierścionom śpiącego jegomościa.

Ocknąwszy się, stary Piotrowski przez chwilę wodził dokoła błędnem spojrzeniem, usiłując zrozumieć, gdzie się znajduje. Przedział pierwszej klasy był pusty, drzwi do połowy uchylone. Za lekko dzwoniącą szybą okienka, w błękitnym zmierzchu zimowego dnia migały szybko słupy telegraficzne i bezlistne konary przydrożnych drzew.

Szpakowaty jegomość raptownie uprzytomnił sobie, że jechał pociągiem pośpiesznym do Warszawy, że usnął, rozmawiając z nieznanym młodzieńcem, a teraz leży z głową opartą o pluszową poduszkę, wyciągnięty, jak długi, na ławce — i że w przedziale niema nikogo.

— Jezus Marja, okradli mię! — krzyknął i skoczył na równe nogi, chwytając się za głowę. Wzrok jego podążył ku walizkom:—były na dawnym miejscu, a skórzana ramka z biletem wizytowym właściciela chwiała się na długim rzemyku w takt kołysania wagonu.

Wówczas pan Piotrowski gwałtownym ruchem sięgnął po pugilares...

Był. Był nietknięty. Dolary leżały równiutko poskładane w bocznej przegródce. Wydobył je i liczył suchemi z podniecenia wargami, szepcząc w miarę, jak drżące palce przesuwwały sztuka po sztuce szarozielone papierki:

— Dwa... cztery... Cztery tysiące pięćset...

Z pomiędzy banknotów wysunął się w tej chwili biały róg kartki, drobniutko zapisanej ołówkiem. Piotrowski pochwyił kartkę, przysunął się ku oknu i czytał, czytał ze wzrastającym osłupieniem, w ostatnich blaskach dogasającego dnia:

„Szanowny panie. Dolary są w porządku. 4721 (wyr. cztery tysiące siedem set dwadzieścia jeden). Akredytywę na Bank Handlowy znajdzie pan w nesaserze, jak również złoty zegarek i spinki z szafirami. Wogóle wszystko jest w porządku. Pozwoliłem sobie jedynie wyrwać tę kartkę z pańskiego notesu, gdyż nie posiadałem papieru. Pragnę dokończyć prezentacji: jestem z zawodu złodziejem. Ostatnio pracowałem, jako specjalista w pociągach pośpiesznych. Często

zmieniałem zresztą nazwisko i fach. A jednak — ludzie nie są tacy źli, — nieprawdaż, kochany panie Piotrowski?

Przecież mogłem ograbić pana. Wsiadłem do pociągu w tym celu. Pańska wiara w poczciwość ludzką jest aż rozbrajająca. Pan jest porządnym człowiekiem. I ja nim kiedyś byłem... Jednak radzę na przyszłość zachować więcej ostrożności. Czasem zda-

żyć się może, iż nieznajomy, spotkany w drodze, jest istotnie nigdy niewidzianym bratankiem; częściej jednak. Ale dość słów. Zresztą papier się kończy, a na wyrwanie nowej ćwiartki nie pozwala mi sumienie i — czas. Żegnam. Nie zobaczymy się już pewno nigdy. A szkoda.. Pan jest doprawdy ogromnie miły i dobry. Krótką znajomość naszą we wdzięcznej zachowam pamięci“.



HELENA CEYSINGERÓWNA

5

## JAK SŁOŃCE SPIJA ROSE

(Opowieść)

— Niema ich, panienko! — wołała od progu. — Pojechali sobie rankiem z wojskiem, ze strażnikami, ze wszystkim!

— Jakto, zupełnie odjechali? do Janowa?

— Pewnie do Janowa. Na wsi ich niema.

— O, jakież Bóg miłosierny!

A co na wsi?

— Chwałę Pana Boga, najwięcej za to, że mordowanym dał siłę wytrwania, że się nikt nie zaparł, nikt nie podpisał, a potem, że panienkę natchnął tak, że tych oprawców uprowadziła...

— Kto ci to mówił?

— Katarzyna, co wczoraj jeszcze poleciała do córki.

Lotka, wyczerpana nerwowo, zanosła się serdecznym płaczem.

Justynka przypadła jej do rąk.

— Niech panienska nie płacz! Tam od starego Andrzeja, co go tak zbili wczoraj, czeka wnuczek. Ma paniencie coś powiedzieć.

Lotka prędko otarła łzy i, ubierając się pośpiesznie, myślała, że wczoraj to przecie był cud chyba... Cud Boży i nic innego! Duszę zalała jej fala wdzięczności i szczęścia.

Wyszędłszy z sypialni, ujrzała dom, przywrócony już do dawnego ładu. Służba pośpiesznie usunęła ślady pijatyki. Pokoje przewietrzono, sprzątnięto; na kominkach płonęły ognie; nic tu nie przypominało scen wczorajszych. Dom jej, po dawnemu, cichy był i dostojny.

W szlafroku wyszła do kredensu, by przyjąć poselstwo wiejskiego patriarchy, najstarszego gospoda-

rza we wsi, którego siwy włos i starość przepiękną sponiewierał wczoraj wróg.

Dziesięcioletni Fiedorek, o przerażonem spojrzeniu czarnych oczu, milczał uparcie, dopóki nie został sam na sam z panienką.

— Dziaduś kazali powiedzieć: cała wieś prosi, coby panienska nie przychodziła! Żeby one panienki nie wywiezły w Syber...

Uścisnęła dzieciaka, kazała mu dać pierników.

— Powiedz dziadusiowi, że zaraz przyjdę.

Chłopiec w obawie, że źle wypełnił poselstwo, zaczął znów recytować przez nos:

— Dziaduś kazali powiedzieć: cała wieś prosi...

— E, co tam! Niech mnie wyślą! Nie pierwsza ja i nie ostatnia! Tak powiedz dziadusiowi...

Chłopiec zabrał łakocie i poszedł.

A w Lotkę wstąpiła nagle jakaś dziwna otucha, jakaś wiara, że wszystko się odmieni, uciszy, przesili, czy jak...

Umyła się zimną wodą, zjadła z apetytem śniadanie i, nabrawszy w koszyk bandaży, maści, leków, starego wina, soków owocowych, poszła z Justynką na wieś.

Był ktoś, co ją uprzedził. Ksenia-znachorka od wczorajszego wieczora już zamawiała, kadziła, gotowała odvary z ziół i poiła chorych, opatrywała rannych.

Panna, znająca dumę znachorek wiejskich i zaufanie do nich ludu, na widok Kseni w chacie Andrzeja, rzekła.

— E, to moje leki tu niepotrzebne, skoro Ksenia zabrała się już po swojemu do roboty, a wiem że leczy świetnie...

Obstąpiły ją dokoła kobiety.

— Gołabczko ty nasza! wszystko, co od ciebie — lek dobry dla ciała i duszy! Póki ty z nami, człowiekowi nie tak straszno!...

A Ksenia rzekła dwornie.

— Cóż tam ja, panienko, z całym moim znachorstwem! Trochę matka nauczyła, to służę ludziom, jak mogę, ale to przecie tylko takie chłopskie, a nie doktorskie leczenie...

A potem, odprowadziwszy na bok pannę, mówiła przyciszonym głosem:

— Strasznie są pokaleczeni! Ciało poodbijane i gołe świecą kości.

Boję się, żeby się nie wdała gangrena. Andrzej Charytoniuk ma złamane żebra i napewno nie przetrzyma, bo starzec przecie... Bojce wybił naczelnik wszystkie zęby, bo mu się stawiał i wołał; „jak ta wasza wiara taka dobra, to czemu do niej przymuszacie!“ Paluchową nagą trzy godziny trzymali na mrozie; dostała zapalenia płuc i leży w gorączce. Jeśli panienka ma wino, to możeby jej z kieliszek...

— Mam, przyniosłam. Jest i chinina. Zaraz do niej pójdziemy.

— Ja chciałam prosić, panienko, że możeby po doktora, albo po felczera, boję się...

— Zaraz posłę i po doktora i po felczera. Tymczasem radź, jak umiesz, bo widzę, że się znasz...

Wyprawiła Justynkę do dworu z rozkazem, by natychmiast wysłano konie po lekarza i felczera, a potem już chodziły od chaty do chaty...

Po drodze myślała Lotka, jak to dziwne, że ta Ksenia, o której akurat 24 godziny temu pomyślała może po raz pierwszy, teraz z nią razem... to tak, jakby dusza już naprzód coś wiedziała... Panna Lotka miewała czasem takie pomyslenia do niczego niepodobne... Zauważyła też, że Ksenia wyraża się wcale poprawnym, prawie książkowym językiem... że jest wcale przystojna, a czarne jej oczy płoną przedziwnym ogniem. Ale nie było czasu na zajmowanie się dłużej wiejską lekarką.

Oczy same płakały na widok straszliwych ran. Poodbijane od kości ciało ropiało już. Niektóre znów miejsca zasiniowane były, aż czarne i podeszłe zgęszczoną krwią. Opatrywanie ich było tembardziej przejmujące, że ci ludzie, cierpiący straszliwie, nie pomstowali, nie skarżyli się; było w nich jakies zachwycenie męczeńskie, a nawet rozradowanie jasne. I najbliżsi nie żalowali ich. Raczej znać było dumę, że zaszczyt męczeństwa spłynął na ich rodzinę, że ci, skatowani, wytrwali, nie okazali słabości, nie zgodzili się w mękach na odszczępienie. Siedmiu było skatowanych najsrożej, a najbliż-

szym śmierci zdał się Andrzej Charytoniak, starzec 70 letni. Ułożony przez synową na wysokich pierzynach, twarzą do posłania, cierpiał ból niewymowny, ale po uwiedłych, wąskich wargach starca wił się uśmiech wniebowzięty. W chwilach sroższego bólu modlił się tylko głośno, dziękując Bogu, że mu pozwolił wycierpieć to samo, co cierpiał Zbawiciel świata.

— Cóż ta biedny człowiek grzeszny! — mówił do Lotki. — A Pan Jezus to nie był biczowany, nie spłynął cały krwią przenajświętszą!

I modlił się do siedmiu Ran Pan Jezusowych, sam świecąc nagą, obdartą ze skóry, kością.

W krótkich chwilach ulgi, pouczał dzieci i wnuków, jak mają wszystko ofiarować Panu Bogu i nie mieć przed Nim nic droższego...

Słuchającej Lotce wydawało się, że przeniesiono ją w inne czasy, inny jakiś świat. Ideał przybliżył się, legenda stawała rzeczywistością...

Ksenia aprobowała maści, przyniesione przez dziedziczkę; darły więc stare płótno na szmaty i przykładały na rany. Potem Ksenia bandażowała bardzo zrećnie.

— Gdzie się tak nauczyłaś? — pytała Lotka.

— U matki. Sposobna byłam od dziecka; a teraz żadnej innej roboty nie lubię, tylko to leczenie.

Przypomniała sobie Lotka, że tę matkę miano powszechnie za czarownicę, że używała bardzo złej sławy, szkodziła ludziom, krowom „odbierała“ mleko... Ale o Kseni nikt tego nie mówił. Była poprostu zna-chorką. I nieraz wzywano ją nawet do dworów.

Po południu wróciły konie z miasteczka, ale lekarza nie przywiozły. Chory był. Domyślała się jednak Lotka, że to strach nie pozwolił mu wmieszać się „w te przeklęte unickie sprawy“. Felczer, żyd, choć z dygotem łydek, przywieźć się dał. Poobcinał zwisające i zaropiałe płaty skóry, inne ponalepiał na właściwe miejsca i, cmokając ustami z podziwu, zapłaty nie przyjął...

Prosił tylko, żeby nie mówić, że on ten „paskudny interes“ na własne oczy oglądał.

— Nie, nie! Powiemy, że Josek mnie wyrwał zęby.

— Aj, aj! jasna panienko, toby też był „kein geschäft!“.

— Gdy zmęczona, spłakana i do głębi wstrząśnięta cichym heroizmem męczenników, wróciła Lotka

do domu, powiedziano jej, że był Artur, że nie mogąc doczekać się jej powrotu, odjechał, ponieważ dziś musi powitać na stacji matkę, wracającą z zagranicy. Przebrzmiało to koło jej uszu, jak rzecz bez znaczenia. Znużona szeregiem nieprzespanych nocy i wstrząsających wrażeń, poszła od razu do swego pokoju. Spała złym, twarde-m snem, i zerwawszy się o świcie, pobiegnęła znów na wieś.



Chorym pogorszyło się. Paliła ich gorączka, zaogniły się rany, ale dusze wciąż były mocne i pełne światła. Stary Charytoniak gasł i dopraszał się katolickiego księdza.

Wróciła więc do dworu, rozmyślając, kogoby uprosić i jak tę rzecz urządzić, żeby nie narazić księdza, gdy przed pałac zajechał major Słobodziński.

Miał zmarszczkę głęboką na czole i widoczną w oczach troskę.

Witając się, patrzył bystro i pytająco w oczy Lotki.

Ale ona nie zwróciła na to najmniejszej uwagi.

— Ach, jak to dobrze, że pan major przyjechał — napadła go odrazu.



## Z MUZYKI STOŁECZNEJ

STOWARZYSZENIE MUZYKI DAWNEJ — FILHARMONJA — OPERA.

2

Gdy mowa o Konserwatorjum i o Casadesus'ach, wypada zasygnalizować powstanie także i w Warszawie — za wzorem Paryża — „Stowarzyszenia miłośników dawnej muzyki“, które właśnie w Konserwatorjum znalazło swoje naturalne i, że się tak wyrażę terytorjalne oparcie. Muzyka dawna była u nas dotychczas pielęgnowana indywidualnie, lub w gronie małych, doraźnie kleconych dla pewnego koncertu, zespołów. W tym względzie zdobyli sobie rozgłos znawstwem i pierwszymi krokami na polu nieuprawionem — pp. Binental, Altberżanka, Ochlewski, Zalewski, Rutkowski i inni. Ludzie ci postanowili obecnie połączyć wysiłki, skupić wszystkich, których muzyka dawna interesuje szczerze i utworzyć specjalne towarzystwo. Ze słów założycieli biła w przemówieniach na zebraniu inauguracyjnym silna, młoda, wiara w powodzenie wysiłków; organizatorom chodzi o zdobywanie dla muzyki dawnej jaknajszerszych kół zwolenników; członkowie Towarzystwa mają nie tylko biernie słuchać muzyki, ale być sami wykonawcami w miarę sił; główny nacisk ma być położony na muzykę zespołową.

Zapał organizatorów, obok powagi, z jaką zadanie swe traktują, jest zaraźliwy: można mieć do nich zaufanie, zwłaszcza, jeśli się zna ich działalność dotychczasową, że się im uda dać nowy impuls rozwojowi muzyki polskiej.\*)

\* \* \*

Jako zdarzenia najciekawsze z kroniki Filharmonji w czasie, do którego odnosi się niniejsze sprawozdanie, wypada zanotować: wystawienie „Suity orkiestrowej“, Czesława Marka, i poematów symfonicznych Respighiego: „Fontane di Roma“ i „Pini di Roma“.

Z Czesławem Markiem wkracza na nasz ubogi horyzont muzyczny, nowy, wybitny talent twórczy. Czesław Marek, lwowianin, przebywający od dłuższego czasu w Szwajcarii, znany był dotychczas tylko z utwo-

rów pomniejszych. Przez swoją „Suitę“, dał się poznać odrazu jako kompozytor pełen świeżych i oryginalnych pomysłów muzycznych, mający poczucie rytmu i orkiestralnej barwy dźwięku, doskonale temi elementami operujący. — Dwa wymienione poematy Respighiego, jednego z filarów muzyki włoskiej ostatniej doby, są to przesłiczne, melodyjne, nastrojowe, liryczne, pełne charakteru obrazy; zdobyły sobie z miejsca naszą publiczność, tak oporną wobec muzyki nowej, i mogą liczyć na trwałe miejsce w programach naszej Filharmonji.

\* \* \*

Opera zdobyła się w ostatnim czasie na dwie rzeczywiste nowości repertuarowe, jedna niedługo po drugiej.

Na pierwszy ogień poszła fantastyczna opowieść o „Złotym Koguciku“. Jest to udratyzowana bajka Puszkina, do której muzykę napisał Rimskij-Korsakow: rzecz pomyslna doskonale, w muzyce przeprowadzona przesłicznie, ale w librecie niezupełnie jasno się tłumaczająca. — Najważniejsze, że jest w tym utworze to, co pobudza silnie wyobraźnię: akcja, wsparta przez przejrzystą, melodyjną, świetnie zinstrumentowaną fakturę muzyczną, powinna z miejsca przenieść widza, zwłaszcza młodego, w świat baśni. Jeżeli jej się to u nas niezupełnie udaje, to nie jest już wina baśni i muzyki, lecz pewnego sposobu ujęcia inscenizacyjnego i reżyserkiego. Dekoracje przebogate, działają na widza przepychem kolorów i groteskową plastyką. Ale to przedstawienie, jak wogóle wszystko, z czem przed publiczność przychodzi opera warszawska, dotknięte jest zawsze tym samym grzechem pierworodnym, tą samą zawsze wadą chroniczną: brakiem jednolitości stylu,

\*) Każdy może być członkiem „Towarzystwa miłośników muzyki dawnej“; zgłoszenia przyjmuje p. Rutkowski, Konserwatorjum, Okólnik I.

zarówno w rysach zasadniczych, jak w szczegółach. Co do muzyki, trzeba jeszcze dla pełni sądu dodać, że Rimskij-Korsakow nie jest tu w stosunku do siebie samego zbyt oryginalny. „Szeherazada“ przypomina się na każdym kroku.

Bądźco bądź, jeśli za wystawieniem „Złotego Kogucika“ przemawiała zasadniczo nieprzeciętna wartość tego utworu, — to nie można tego samego powiedzieć o następnej nowości, o operze niemieckiego kompozytora powagnerowskiego, Maksa Schillingsa p.t. *Monna Liza*. Jak widać, asumpt do dramatu dał libreciście słynny obraz Leonarda da Vinci. Jestto więc dramat pani Monny Lizy del Giocondo (po mężu), nie wiem, czy wymyślony przez autora, czy też zaczerpnięty z jakichś źródeł, ale niewątpliwie wstrząsający w momentach kulminacji — niczem powieści Scherlock-Holmesa. To właśnie pod względem rodzajowym kwalifikuje operę Schillingsa, jako operę par excellence werystyczną. Reminiscencja „Toski“ Pucciniego jest podczas przedstawienia bardzo żywa. Zato w muzyce tylko z trudem i sporadycznie można się doszukać płynnej i słodkiej, lirycznej, lub dramatycznej — melodji włoskiej. do której tak nas

przyzwyczaili weryści: Leoncavallo, Mascagni, Puccini. Jest to muzyka „zrobiona“ dobrze, ale po niemiecku ciężka. Przytem nie można powiedzieć, aby kierujący przedstawieniem p. Dołżycki dopomógł jej (na premierze) do uwydatnienia walorów, jakie posiada, a już zupełnie nie dopomógł do właściwego, dynamicznego ustosunkowania się do śpiewaków na scenie.

Przedstawienie „Złotego Kogucika“ uzupełnia balet L. M. Rogowskiego „Kupała“. Pod nowym tytułem kryje się tu przeważnie — znana nam z lat poprzednich „Bajka“ tego samego kompozytora, włożona w jedną odsłonę i w dawniejsze dekoracje.

Taki oto jest sumaryczny bilans opery z kilku ostatnich tygodni.

O specyficznych cechach tego bilansu, jak wogóle o właściwościach opery warszawskiej, i o refleksie, jaki jej działalność znajduje w opinii społeczeństwa, a w szczególności we wklęsłym zwierciadle tej opinii, w prasie codziennej, wypadnie nam chyba kiedyś powiedzieć osobno.

Najbliższą nowością, której oczekujemy niecierliwie, będzie nowa opera Ludomira Różyckiego „Beatrix Cenci“, oparta na dramacie Słowackiego.

J. R.



## Z DZIAŁALNOŚCI KOBIET W STOLICY

W okresie przedświątecznym bardzo żywo dyskutowaną była w różnych kołach kobiecych kwestja abolicjonizmu, czy reglamentacja prostytucji.

Bodziec w tym kierunku dały wzmianki niektórych pism codziennych, pełne westchnień za dawnym stanem rzeczy, gdy kontrola policyjna i dom publiczny utrzymywały w „porządku“ niebezpieczny żywioł nierządu. Wzmianki te, oraz szerzone tendencyjnie pogłoski, jakoby w niektórych kołach policji państwowej górował zamiar przywrócenia dawnych metod reglamentacyjnych, a nawet wydawania koncesyj na domy publiczne — wzburzyły opinię świata kobiecego stolicy.

Jeden z pierwszych przystąpił do sprawy Klub Polityczny kobiet postępowych, zapraszając dr. Mackę na referenta. Po ożywionej wymianie zdań przyjęto jednomyślnie zasadę abolicjonizmu, żądając zniesienia nawet t. zw. neoreglamentacji. W parę dni później na ten sam temat dyskutowano na zebraniu Narodowej Organizacji Kobiet. Referentką była posłanka Holder-Eggerowa. Wnioski poszły w tym samym, mniej więcej, kierunku.

W połowie grudnia zwołany Wydział Kobiety P. P. S., za przedmiot dyskusji wziął ułożony przez Polski Komitet do zwalczania handlu kobietami i dziećmi projekt ustawy o zwalczaniu nierządu. Wydział kobiety P. P. S., stojąc zasadniczo na gruncie abolicjonizmu, oświadczył się przeciw wszelkim rodzajom reglamentacji.

Wreszcie ostatniem kobiecym zebraniem z tego cyklu była liczna bardzo konferencja Rady Narodowej Kobiet, na której zaproszone przedstawicielki wszystkich kierunków jednomyślnie stanęły na stanowisku abolicjonizmu.

Referentką była znów posłanka Holder-Eggerowa, która, przemówienie swoje nawiązując do projektu ustawy, wypracowanej przez Komitet do walki z handlem kobietami i dziećmi, wymownie zwalczała reglamentację prostytucji. Projekt ten wzorowany jest na ustawie duńskiej, która z prostytucją walczy, podciągając ją pod przepisy prawa o włóczęgostwie i żebractwie. Punkt ten obudził liczne wątpliwości zgromadzonych pań i zarówno, jak paragraf o przy-

musowem leczeniu chorób wenerycznych, wywołał ożywioną dyskusję. Zgromadzenie składało się z wybitnych lekarek specjalistek, przedstawicielek prasy i znanych działaczek społecznych.

Rezolucje wypadły naturalnie i tu przeciw reglamentacji. Mają być uczynione zabiegi, aby projektu ustawy o walce z nierządem nie puszczać na flukta sejmowe, a, po przedyskutowaniu go na Radzie Opieki Społecznej i ostatecznem ustaleniu tekstu, wprowadzić w życie pod formą dekretu.

\* \* \*

Inna sprawa, która roznamiętnia dziś świat kobiety, to sprawa reformy prawa małżeńskiego, już, podobno, ujęta w paragrafy przez Komisję kodyfikacyjną. W tym wypadku, jednak, niema mowy o jednomyślności.

Gdy sfery prawicowe stoją na gruncie nierozdzielności małżeństwa i ślubów kościelnych, koła postępowe i lewica dążą do wprowadzenia ślubów cywilnych i ułatwienia rozwodów. I w tej sprawie odbył się cały szereg zgromadzeń i dyskusyj.

\* \* \*

Niespodzianką przedświateczną było wydanie przez „Rodzinę Wojskową“ jednodniówki, poświęconej działalności stowarzyszenia. Wydany na ładnym papierze, bogato ilustrowany, gruby zeszyt zawierał, oprócz sprawozdań, dział literacki.

Jest to, po wojnie przynajmniej, pierwsza próba zobrazowania w ten sposób działalności organizacji jakiegokolwiek. Kobiety zwykle starannie milczą o swych, nieraz bardzo pożytecznych, pracach. Upoważnia to różnych szkodników społecznych do lekceważenia tych prac. Witamy więc z prawdziwym zadowoleniem ten pierwszy krok na nowej drodze, świadczący niewątpliwie o żywotności „Rodziny Wojskowej“. *Andrea.*

## Kobieta w świecie i w domu

### URZĘDNICZKI W SZWECJI

Według ostatnich statystyk szwedzkich, ilość kobiet na stanowiskach urzędniczek państwowych zwiększyła się niepomniernie w latach ostatnich. Podczas kiedy w roku 1913 było ich w całym państwie szwedzkim zaledwie 8838, obecnie liczba ich wzrosła do 17.177. W tym samym czasie ilość urzędników mężczyzn zwiększyła się stosunkowo bardzo nieznacznie, bo tylko z 82.275 na 83.156.

### DYREKTORKA ANGIELSKIEGO RADJA

W dniu 1 stycznia r. b. rozpoczął swą pracę w Anglii wielki związek radjowy (British Broadcasting Corporation), na czele którego, jako jego kierownicy, stanęło czterech mężczyzn i jedna kobieta. Kobieta tą jest znana działaczka społeczna i polityczna angielska, pani Philip Snowden.

Niemają to zaszczyt być kierowniczką tak olbrzymiej instytucji, jak B. B. C. — instytucji chyba najpopularniejszej dziś w całej Anglii. Toteż pisma angielskie poświęcają sporo miejsca notatkom biograficznym o pani Snowden, która zresztą zasługuje w zupełności nato, cokolwiek bowiem powiedziećby można o jej przekonaniach politycznych, jest ona postacią bardzo nieprzeciętną i interesującą pod względem inteligencji, energii i rozmachu życiowego.

Obdarzona od natury niezwykle dźwięcznym, donośnym głosem, pani Snowden wyrobiła się już bardzo wcześniej na świetną mówczynię. Sama z pewnością nie potrafiłaby określić, ile razy w życiu przemawiała i na jakich meetingach, wiecach, kongresach etc. Przemówienia jej noszą przytem zawsze charakter spontanicznej improwizacji, chociaż odznaczają się stylem bardzo starannym i literacką czystością języka. Pierwszy raz przemawiała pani Snowden z mównicy publicznej jeszcze jako bardzo młoda dziewczynka; było to w czasie wojny Anglii z Transvaalem, a tematem tego przemówienia było wezwanie do pokoju powszechnego i zaprzestania wszelkich działań wojennych.

Odtąd poświęca już panna Annakin, późniejsza pani Snowden, całe swoje życie propagandzie hasel humanitarnych i postępowych. Objężdża cały świat, wygłasza przemówienia w każdym bez wyjątku większym mieście angielskiem, amerykańskiem, kanadyjskiem, australijskiem — prowadzi propagandę w Sztokholmie, Tyflisie, Moskwie, a nawet Jerozolimie.

Jako gorąca zwolenniczka równouprawnienia kobiet, pani Snowden jest jedną z najczynniejszych członkiń stowarzyszeń sufrażystek; obliczono, że przez dziesięć lat najgorętszej walki tych stowarzyszeń o prawa kobiece niestrudzona mówczyni przemawiała przeciętnie na dwustu meetingach rocznie!

Pod względem politycznych przekonań jest pani Snowden jedną z najbardziej zdecydowanych członkiń angielskiej Labour Party, reprezentując w niej odłam najbardziej lewicowy. Zne są jej poglądy na ustrój i ideały sowieckie, wyłożone w książce, p. t. „Podróż po Rosji bolszewickiej“. Książka ta, będąca opisem wrażeń, odniesionych podczas pobytu jej autorki w Rosji w r. 1920, wywołała w Anglii olbrzymią sensację i sprzedawana była w setkach tysięcy egzemplarzy.

Wrażenia ze swych podróży po krajach europejskich opisała pani Snowden w innej książce, noszącej tytuł: „Polityczna pielgrzymka po Europie“. I ta książka również cieszy się wielkiem powodzeniem. Sam opis wszystkich podróży pani Snowden po świecie zająłby niewątpliwie parę grubych tomów. Nie można powiedzieć, aby wybierała ona sobie dla tych wędrówek kraje i misje banalne. W r. 1921 np. zwiedza ona Kaukaz w charakterze przedstawicielki Drugiej Międzynarodówki, celem zbadania warunków, panujących podówczas w socjaldemokratycznej republice gruzińskiej. W r. 1923 udaje się do Palestyny dla zbadania problemów sjonistycznych. W r. 1924 objężdża wszystkie pobraża kanadyjskie z ramienia Międzynarodowej Ligi Oświatowej.

Niema bodaj instytucji o znaczeniu społecznym, do której nie należałaby ta kobieta o niestrudzonej energii i niespożytych siłach. Opieka nad dzieckiem, kluby dla pracownic umysłowych i fizycznych, sprawy gospodarcze, zwalczanie alkoholizmu—wszystkie te problemy interesują ją żywo i wszystkim im służy ona swą silną, ruchliwą indywidualnością.

### BIBLIOTEKARKA W KAMBODŻY

Dowiadujemy się z „La Française“, że biblioteka królewska w Kambodży, założona przed dwoma laty, ma za kierowniczkę kobietę. Jest nią Francuzka, panna Zuzanna Karpelès.

Biblioteka ta jest właściwie rodzajem muzeum, w którym, oprócz książek w kilku językach europejskich, mieszczą się jeszcze zbiory etnograficzne i dzieła sztuki krajowej. Zbiory te zostały w sposób uroczysty ofiarowane bibliotece przez wszystkie prowincje państwa Kambodży za pośrednictwem delegacji, złożonych z bonzów, dostojników państwowych, oraz znacznej liczby przedstawicielek płci niewieściej, które witały bibliotekarkę królewską pięknymi przemowami.

Panna Karpelès opowiada, że miała zrazu pewne trudności ze strony bonzów, którzy niezbyt chętnie godzili się na współpracownictwo z kobietą, i to w dodatku cudzoziemką i chrześcijanką. Obecnie jednak pogodzili się z tym faktem i uczęszczają chętnie do biblioteki, zasięgając rady panny Karpelès we wszystkich wątpliwościach, a nawet współpracując z nią nad tłumaczeniem i popularyzowaniem dzieł naukowych. Kapłani ci, najbardziej wykształcona kasta w Kambodży, stanowią główną większość czytelników biblioteki, poza nimi uczęszcza do niej bardzo niewielka ilość osób świeckich. Przeciętną ilość osób, korzystających z biblioteki, oblicza panna Karpelès na 350 miesięcznie.

### „ENCYCLOPAEDIA BRITANNICA“ A KOBIETY

Monumentalne wydawnictwo angielskie „Encyclopaedia Britannica“ wykazuje w swych kolejnych wydaniach dość ciekawe zmiany w stosunku do kwestji kobiecej.

Jeśli weźmiemy stare wydanie z r. 1786, znajdziemy tam pod słowem „Woman“ (kobieta) tylko następujące cztery wyrazy: „kobieta“—rodzaj żeński od „mężczyzna“.

W wydaniu z r. 1910 znajdujemy już pod tą rubryką króciutki opis ruchu kobiecego w Anglii, jednocześnie zaś wpośród artykułów, zamieszczonych w tem dziele, około dwudziestu pochodzi z pod pióra kobiecego.

Ostatnie zaś trzy tomy suplementu do Encyklopedji, które ukazały się w roku bieżącym, zawierają już znaczną ilość wzmianek o najwybitniejszych postaciach kobiecych współczesnych. Z pośród Angielek widzimy tam p. Mary Mc. Arthur, Alicję Meynell, Lady Dorotę Neville, Lady Gregory, Lady Oxford; z pośród cudzoziemek zaś zasłużyły na uwagę redaktorów Encyklopedji: Eleonora Duse (której poświęcono długi i bardzo starannie opracowany artykuł), Selma Lagerlöf, Ellen Key, Róża Luksemburg, Zuzanna Lenglen oraz .. znana tancerka rosyjska Pawłowa!

Z. B.

## KSIĄŻKI NADESŁANE

NAKLADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA.

- I. K. Włakowicz — Płaczący ptak.  
 Jerzy Braun — Hotel na plaży (powieść).  
 Z. Kisielewski. — Błąd (powieść).  
 T. Zegadłowicz — Dom Jałowcowy.  
 A. Nowaczyński — System doktora Caro.  
 Al. Ad. Konar — W pogoni za szczęściem.



### TEATR ĆWIKLIŃSKIEJ I FERTNERA

„Ten pierwszy“ komedia w 3 aktach *Mirande'a i Monezy-Eona*.

Ilość tematów nie jest nieograniczona, nie możemy więc brać za złe autorowi (albo autorom!) jeżeli się pokusi o nową wersję sytuacji i faktów, nieraz już opisywanych w literaturze i wygrywanych na scenie. Byle rzeczywistość wniósł coś „nowego“ i zrećnie rozwiązał postawione sobie zadanie.

Panowie Mirande i Monezy-Eon kazali swemu bohaterowi być człowiekiem cywilnie umarłym. Ten żywy trup był ongiś wynalazcą; w katastrofie kolejowej stracił pamięć i wyszedł ze szpitala, jako człowiek nowy, nie mający nic wspólnego z tym, którym był przed wypadkiem. Zmienił fach: jest fryzjerem. Los (czy znaczenie los bardziej złośliwy i przewrotny, jak ten, który rządzi farsowami bohaterami?) wprowadza go do domu byłej żony, Rajmunda, aczkolwiek wciąż jeszcze zakochana w „nieboszczyku“, oddała rękę drugiemu: trudno, życie ma swoje prawa! Ale oto zjawia się Ten Pierwszy... Nie pamięta, jak mówiliśmy, o niczem, ale drogą hypnozy przychodzi do świadomości — i, oczywiście, upomina się o swoje prawa. Ponieważ następca jego praw nie potrafił pozyskać w zupełności Rajmunda — koniec łatwy do przewidzenia.

Nie będziemy się zastanawiać, ani nad nim, ani nad rozwinięciem tego ciekawego tematu, jakim jest konflikt cywilnej śmierci z realnym życiem. Autorowie „Tego pierwszego“ nie zastanawiali się również: poszli po linii najmniejszego oporu: komiczne sytuacje, nieodzowne łóżko, komisarz z szarfą, nowoczesna panienska, wszystko według recepty na farsę. Kilka drobnych „numerków“, starannie wygranych przez wykonawców (Gella, Kościeszanka, Chaveau, Grabowski — chwilami doskonały! — Justjan, Walter, Roland) dużo śmiechu na sali — oto wrażenia z tego wieczoru.

\* \* \*

Teatr Polski obiecuje nam w najbliższej przyszłości „Sługa dwóch panów“ Carlo Goldoniego, jednego z najbardziej płodnych pisarzy osiemnastego wieku.

Goldoni, prawnik z wykształcenia (czas jakiś nawet zajmował się praktyką w swoim rodzinnym mieście, Wenecji) od najmłodszych lat czuł powołanie do teatru. Jako student brał udział w inscenizacji uroczystości pogrzebowych i próbował swoich sił, jako kompozytor oper. Zmuszony opuścić Wenecję, przystał do trupy impresarja Imro i przez kilkanascie lat tułał się po Włoszech, jako dostawca sztuk do wędrownych teatrów. W r. 1760 został powołany do Paryża przez trupę włoską i przez 32 lata z górną bawił swojami komedjami stolicę świata. Były to czasy walki starej włoskiej *Commedia del Arte* z nowoczesną komedią francuską, o wiele swobodniejszą w traktowaniu charakterów, ale bardziej surową w przestrzeganiu jedności miejsca, czasu, itd. Goldoni, talent nawskroś improwizatorski, umiał przyswoić sobie zdobyte teatru francuskiego i wniósł niejedno do rodzinnej twórczości dramatycznej.

Wybrana przez Dyрекcję Teatru Polskiego komedia „Sługa dwóch Panów“ należy do najlepszych utworów Goldoniego. Z pyłu zapomnienia wyciągnął ją Reinhardt, grał ją też przed kilku laty Teatr Krakowski. Reżyseruje „Il ser vitore di due padroni“ p. Schiller, specjalista od utworów tego rodzaju. Główna rola sługi branta spoczywa w niezawodnych rękach pana Maszyńskiego, Z. P.



## SZTUKA ROZRÓŻNIANIA STARYCH FAJANSÓW I PORCELANY



Chińska porcelana. — Wazonik z epoki Mingów.

Cenne zabytki ceramiki, rozrzucone po świecie, mało są znane ogółowi. Często się zdarza, że ludzie, mający w takich skorupkach fortunę — nie wiedzą o tem, a przyzwyczajeni do nich od dzieci, lekceważą je, używając do najpospolitszych potrzeb. Sztuka zatem rozpoznawania i oceniania fajansu i porcelany bardzo jest ważna — nietylko przynosi korzyść osobistą, ale powiększyć może cenne zbiory muzealne w kraju.

Od najdawniejszych czasów używano naczyń wypalanych z gliny, początkowo do domowego użytku, następnie do zdobienia mieszkań. Chińskie porcelany są bardzo stare, w Europie ceramika była w kolebce aż do epoki odrodzenia. Wypalano wprawdzie z gliny naczynia, powleczone rodzajem przezroczystej polewy, nie pokrywającej jednak żadnej usterki, dopiero w XIV wieku Maurowie, osiedliwszy się w Hiszpanji, przynoszą ze Wschodu tajemnicę wypalania fajansu, którego cegielkami, o przeslicznych kolorach błękitu, wykładają ściany i podłogi swoich mieszkań. Płytki te utrzymywały chłód i dawały złudzenie cudów dalekiego Wschodu.

Nieźrównane barwy takich tafelek mieniły się wszystkimi kolorami tęczy z odblaskami złota, lub brązu. Niestety, tajemnica ich wyrobu zaginęła prawie zupełnie, bo płytki, wypalane dotąd w Andaluzji, nie mają ani ich kolorytu, ani ich blasku.

Sposób wypalania nieprzezroczystej polewy dostał się z Hiszpanji do Włoch, gdzie, znalazłszy możnych protektorów, prędko się rozwinął. W Faenza, skąd nazwa fajansu, powstała znaczna fabryka, gdzie wyrabiano naczynia, zdobione bogatymi rysunkami XV wieku, wyobrażającymi delfiny, gałęzie, owoce i t. p. — Bardzo cenione i poszukiwane przez zbieraczy są wyroby z Urbino, Castel-Duranto i Pesaro.

Franciszek I po wojnach z Włochami sprowadził do Francji artystów, którzy, założywszy fabryki fajansów, pod wpływem ducha francuskiego wysubtelnili swoją twórczość. Bernard Palissy pierwszy wy-

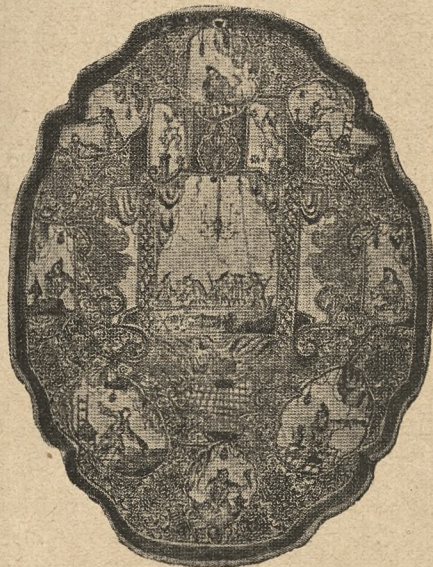
rabia wypukłe ozdoby, naśladujące ryby, zwierzęta, muszle i t. p., a koloryt jego dochodzi do doskonałości. W XVI i w XVII wieku w innych krajach Włochi również zakładali fabryki fajansu.

Nevers, Rouen, Moustiers wślawiają się swemi wyrobami i zaopatrują w nie całą Europę. Wprowadzony zwyczaj picia kawy i czekolady daje coraz to inne zapotrzebowania, a tem samem stwarza nowe pomysły. Powoli zastawy fajansowe zastępują dotąd używane naczynia złote, srebrne, cynowe i z innych metali. Po rujnujących wojnach XVII wieku, król kazał stopić prawie wszystkie swoje srebra, aby pokryć wydatki na nie. Magnaci poszli za jego przykładem i odtąd panowanie fajansu jest zapewnione.

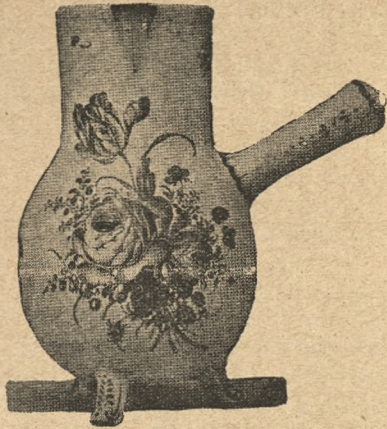
Holandja, prowadząc handel z Dalekim Wschodem, sprowadzała na swoich okrętach niezrównanie cienkie i delikatne wyroby z materiału, nieznanego dotąd w Europie. Była to porcelana chińska, różniąca się od fajansu częściami składowymi, czyli kaolinem. Pod wpływem gorąca kaolin twardnieje, robi się lekko przezroczysty, a stosunkowo mocny. Glinka, wyrabiana z niego, daje się rozciągać bardzo cienko — czego z innej gliny zrobić nie można.

Przypuszczalnem jest, że fabrykacja porcelany powstała w Chinach w bardzo odległej przeszłości, ale dopiero w XV wieku, za panowania sławnej dynastji Mingów, doszła do pełnego rozwoju. Za rodziny Tsingów, w wieku XVII, przemysł ceramiczny po krótkim upadku udoskonala się jeszcze. Chińczycy zazdrośnie kryli tajemnicę swojej sztuki, a garncarstwo na Zachodzie, pomimo nieustających prób, nie mogło im dorównać. Dużo zawiązują fabryki w Rouen, Orléans i St. Cloud tym ówczesnym poszukiwaniom.

Rozwój sławnej fabryki w Sèvres datuje od XVIII wieku, kiedy Pani de Pompadour, gorąco interesująca się rozwojem sztuki we Francji, zmusza poniekąd króla w roku 1753 do wzięcia w opiekę upadającej fabryki porcelany w Vincennes. Król przenosi ją do Sèvres, i odtąd rozślawia się imię ceramiki francuskiej. Fabryka w Sèvres szybko zdobywa naczelną rolę, podtrzymywana dekretemi królewskimi, nadającymi jej monopol pewnych form, kolorów, a zwłaszcza złocień. Miękka glina sewrska dochodzi do niedoścignionej białości.



Fajans halenderski „Delft” z XVII w.



Wazonik fajansowy Strasburski.

Doskonałość saskiej porcelany powstała przypadkowo z odkrycia, zrobionego przez Böttigera, chemika, pracującego w laboratorium Elektora Saskiego, Fryderyka Augusta, który tak, jak i inni wówczas panujący, oddawał się poszukiwaniom fabrykacji złota. Otóż Böttiger w swoich próbach wypalania gliny, z okolic Meissen, zauważył materię, dotąd przez niego nieznaną. Gлина ta okazała się kaolinem, a powstałe z niej wyroby — porcelaną. Elektor Saski szybko ocenił ważność tego odkrycia, zbudował fabrykę, kazał otoczyć ją wysokimi murami pod ochroną wojska, a pracującym w niej robotnikom nie wolno było komunikować się ze światem. Wtajemniczenie w sposoby tej fabrykacji karano ciężkim więzieniem. Tego rodzaju postępowanie spotyka się często w XVI i w XVII wieku. W Wenecji, pracownikom fabryki sławnego szkła w Murano nie wolno było zdradzić sekretu jego wyrobu pod karą śmierci; niestety, nie jeden z nich za późno dla siebie przekonał się, że groźba ta nie była czczym wyrazem.

Saska porcelana wślawiła się szybko; najjaśniejsze barwy, najwykwintniejsze kształty, a także jedyny w swoim rodzaju wyrób figurynek, przyczyniły się do rozgłosu fabryki w Meissen. Przez 50 zgorą lat europejscy książęta starali się dobrać sposobów wypalania saskiej porcelany, bo jeśli nawet jakieś słuchy przedostały się na świat z fortecy meisseńskiej, nie zastępowały, oczywiście, niezbędnej tutaj kaolinu. I tu znów przypadek dał Francji to, czego wiedza na próżno poszukiwała oddawna.

Chemik z Bordeaux, Villarisa, który, jak wszyscy z owej epoki mężczyźni, nosił pudrowaną perukę, zniecierpliwiony jej ciężarem, zwrócił się z wymówkami do swojego perukarza, który tłumaczył się, że jest za biedny, aby kupować puder ryżowy, i dla tego używa do peruk ziemi ze swych rodzinnych stron, białej jak puder. Villarisa zbadał tę ziemię, wypróbował ją i z łatwym do zrozumienia zachwytem odkrył kaolin. Zawiadomiono natychmiast fabrykę w Sèvres, a ta, będąc już w posiadaniu niektórych tajemnic, dotyczących wyrobu twardej porcelany, w 1768 r. przedstawia królowi sztuki, dorównujące chińskiej porcelanie. Inne fabryki fajansu i miękkiej porcelany od dłuższego czasu starały się oddawać pod protektorat członków rodziny królewskiej, aby skutecznie zwalczać monopol sewrski.

Odkrycie Villarisa spowodowało ogólny zachwyt. Królowa i członkowie rodziny królewskiej otwierali fabryki pod swemi godłami.

Fabryka królowej mieściła się na placu, przy ulicy Coumartin naprzeciw magazynów „Au Printemps”. Wypalano w niej naczynia z białej porcelany, używane w mleczarni Marji Antoniny w Trianon. Opowiadają, że ze swobodą, właściwą obyczajom XVIII stulecia, królowa kazała zmodelować jedną ze swych piersi na idealnych kształtów kubek do podawania na dworze mleka od wystawczonych jej owieczek. Z tych cennych wzorów zaledwie jedna sztuka pozostała w muzeum w Sèvres.

Kto interesuje się ceramiką, powinien poznać ozdoby i znaki, po których odróżnia się epokę, z której pochodzą. Pierwsze fajanse znaczone jedynie literami pracowników.

Fabryka w Nevers różni się tylko od Rouen nie używaniem nigdy koloru czerwonego. Rouen był wielkim środowiskiem garncarskim, w jego wyrobach początkowych przeważa kolor żółty; żadne jednak fajanse nie dorównują fajansom z Moustiers, których polewa jest zadziwiająco przezroczysta, a rysunek subtelny i drobiazgowy. Najlepsze wyroby z Moustiers znaczone są początkowo literami P. L., a od początków XIX wieku — nazwą Moustiers.

Fajanse strassburskie z fabryki, założonej przez Hannonga w XVIII wieku, cieszą się wielkim wzięciem. Tło ich białe, ozdobione różnobarwnymi kwiatami, niedbale rozrzuconymi — brzegi karbowane, paski różowe otaczają dno; znaczone są lit. H, często z dodatkiem inicjałów pracownika.

Delft, najznacniejsza fabryka w Holandji, wyobrażała sobie, że odkryła porcelanę. Glinki jej były pierwszorzędne, polewa o dużym blasku i specjalnej przezroczystości. Holendrzy starali się niewolniczo naśladować porcelanę chińską, wzory ich rysunków były wybitnie wschodnie; następnie, wyzwoleńszy się z pod wpływów wschodu, próbowali bardziej urozmaiconych wzorów z natury, posunęli się aż do odtwarzania widoków miejscowych. Znaki fajansów z Delft są nie zliczone, najbardziej znane przedstawiają „butelkę porcelanową, głowę maura, różę, trzy beczki popiołu”. Delft odznaczało się oryginalnością kształtów i pomysłów przeznaczenia swoich wyrobów: beczułki do wina, klatki dla ptaków, wierzchy do szczotek, a pewno i sławne skrzypce fajansowe pochodziły z Holandji. Chantilly, jedna z najpierwszych fabryk porcelany miękkiej, znaczone jest zawsze rogiem myśliwskim, a dodatek lit. P. B., lub C. dowodzi jej pochodzenia z XIX wieku.

Najbardziej cenione okazy porcelany chińskiej dzielą się na rodziny: zieloną i różową. Pierwsza—po-



Porcelana saska, znak dwa miecze.

siadała wszystkie kolory, za wyjątkiem różowego, pojawiającego się dopiero w początkach XVIII wieku. Jest on barwy tak subtelnej, że nazwa „rose de Chine” dotąd znana jest w całej Europie. Rodzina różowa, przezroczyta i wyjątkowo cienka, najwyżej jest cienia. Pierwszy znak saskiej porcelany są to lit. A. R. (Augustus Rex), następnie różga Eskulapa, bo Böttiger był aptekarzem, w końcu — dwa miecze skrzyżowane w kolorze niebieskim.

Fabryka królowej Marii Antoniny, w kwiatu niebieskim na białym tle, znaczy się kolorową lit. A. z koroną, lub bez. Sèvres, najznacniejsza z fabryk europejskich, wślawiła znak dwóch L, splecionych ze sobą; za cesarstwa znakiem jej jest orzeł — dzisiaj tylko „Sèvres” całymi literami.

O innych starych cenionych porcelanach, jak i o fajansach polskich, pomówimy w jednym z następnych numerów.

Znaki starych fajansów „Delft”.



Porcelanowa butelka.

Głowa maura.

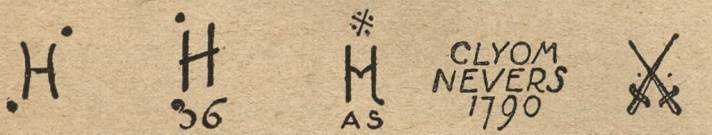
Róża.

Trzy beczki popiołu.

Trzy dzwony.



Znaki porcelany „Sèvres” z w. XVIII i z epoki Cesarstwa.



Znaki porcelany Strasburskiej.

Wyroby „Nevers” z nazwiskiem robotnika.

Znaki porcelany saskiej XVIIIw.



Znaki porcelany „Chantilly”.

## O WNĘTRZACH MIESZKANIOWYCH

### DOM PODMIEJSKI

Dom podmiejski nie jest bynajmniej wielkim luksusem, dostępnym dla najbogatszych. Naturalnie, że mogą się znaleźć w ich rzędzie przepyszne wille w ogromnych ogrodach, ale też i bardzo średnio zaможny urzędnik może sobie pozwolić na ten, niesłusznie zwany zbyt — dom podmiejski. Zależy to od skali domu. Ale przede wszystkim zależy od ujęcia całej kwestji domów podmiejskich, od sposobu, w jaki się zabiera do budowy owych kolonij. Zobaczmy, jak wyglądają takie domy zagranicą i w Ameryce.

Ze środka miasta, city, gdzie się zgrupowały wielkie sklepy, banki, biura i urzędy wydostajemy się na dalsze ulice. Ulice-szosa. Ocienione, wyasfaltowane ciągną się na kilometry przez okolice, nie będące ani wsią ani miastem. Podmiejskie domy. W ogrodach, większych i mniejszych, zależnie od możliwości, stoją takie przemiłe, jasne, oddzielne jednorodzinne domy. Czasem bywają malutkie, z paru pokojów i garażu złożone, czasem wspaniałe, wielopiętrowe. Co pewien dystans mamy wielkie sklepy towarowe, zaopatrujące mieszkańców we wszystko, co może być potrzebne, łącznie z oddziałem poczty i bankiem. Kilkanaście minut jazdy autem, lub elektryczną kolejką, i stajemy w sercu miasta. Ktoś, pracujący w city, ma tu rodzinę, spędza popołudnie i całe niedziele w ciszy, w pysznym powietrzu. Tak to wygląda zagranicą. U nas wielka Warszawa obejmuje w projekcie regulacji niejedną dzielnicę parkową. Parę ostatnich lat przyniosły nam nawet trochę nieudolnych prób w tej dziedzinie, jak np. Żoliborz. Na czem polega błędność przeprowadzenia tej sprawy?

Oto zaczęto budować domy na terenach, nie mających nietylko dobrej, ale żadnej komunikacji z centrum miasta. Ani ulicy, ani szosa, ani tramwai. Dzikie pola, dopiero w miarę budowy kanalizowane. Do szosa paręset metrów błotnistej ścieżki; przeprowadzony później tramwaj kursuje co pół godziny, często obwieszony pasażerami. W tych warunkach, rzecz prosta, ludzie niechętnie myślą o budowaniu się na takiej kolonii, porównywując mieszkanie tam do wygnania i skazywania się na niewygody. Tembardziej, że targ znajduje się o dobrych parę kilometrów, a po sprawunki trzeba jeździć do miasta. Zwala się zazwyczaj winę na braki funduszy, ale przecież ostatecznie trzeba przeprowadzić i tramwaj, i elektryczne oświetlenie, i położyć bruki, i chodniki; czy nie lepiej nie czekać oburzenia opinji i zrobić to zawczasu?

Hasło oszczędności, źle pojęte, odbija się też i na samych domach. Każdy, kto się zdobędzie na budowę domu, chce, żeby był i duży, i wygodny, i tani. Powoduje to często budowę tandety. Np. mając teren pod domek paropokojowy, zamiast pięciu dużych ubikacji, właściciel żąda od architekta, by mu zmieścił na tej samej przestrzeni 7, albo 10 pokoi. A potem, oczywiście, otrzymuje się ciupeczki, w których się nie sposób obrócić, zaciasne korytarzyki i inne dolegliwości. Wracając do przygotowywania terenów pod budowę dzielnic, przypomina mi się pewna sytuacja, widziana w Toruniu w roku 1920. Był tam w okolicy teatru spory plac. Niezabudowany, choć dalej była dzielnica willowa. Widocznie przed samą wojną postanowiono placzyk zabudować. Podzielono więc go na bloki paru ulicami, wybrukowano je, zasadzono drzewa, ułożono chodniki i ustawiono latarnie. Na placach pod domy można było zaobserwować okryte deskami i słomą wyloty rur kanalizacyjnych. Wszystko było przygotowane, wystarczyło zbudować dom i odrazu znalazłoby się w cywilizowanej dzielnicy miejskiej. Wojna przeszkodziła. Ale drzewa rosły i dawały miły cień nad chodnikami. Na Żoliborzu mamy domy wykończone od trzech lat, rzucone przy chodniku z dwóch desek, przy ulicy, pełnej wyboi i bajor, oświetlonej zrzadka zwykłą żarówką na słupie, o kilometr od tramwaju. Dopóki się nie zmieni system zabudowywania kolonij podmiejskich, nie stanie się Warszawa nigdy wielkim miastem. Nie należy jednak zniechęcać się temi próbami. Będzie napewno lepiej. Powstaną wielkie sklepy na wzór amerykańskich,

w których będzie wszystko, i nie trzeba będzie jeździć do miasta po zakupy. Zrzeszeni dostawcy będą rozwolili po domach mięso, jarzyny, nabiał, a inni—węgiel i naftę. Można będzie zamawiać przeróżne rzeczy telefonicznie, a wielkie firmy zajmą się dostawą do domów poczynionych zakupów. Musi być lepiej. Przecież tak rozkoszną rzeczą jest mieć swój własny domek z ogródkiem.

Dom podmiejski może być dwojaki. To znaczy, że może to być tylko ognisko rodzinne, wówczas kiedy warsztat pracy znajduje się w śródmieściu. Następnie może łączyć w sobie home z warszatem pracy. Szereg fachów, jak to: lekarza, architekta, malarza, literata i wielu innych pozwala mieszkać nie w city, ale pod miastem, w takich właśnie ogrodowych dzielnicach. W zależności od tych dwóch zasadniczych wypadków, zmienia się układ domu. Gdy dom wyłącznie rodzinny może leżeć w głębi ogrodu, łącząc szeroką aleją garaż z bramą i chodnikiem — wejście do domu z furtką w ogrodzeniu, — to dom np. lekarza musi mieć wejście bezpośrednio z ulicy, specjalnie dla chorych. Tak samo architekt musi mieć wejście dla interesantów. Drugie wejście będzie dla osób prywatnych, trzecie dla służby. Wejście dla interesantów prowadzi do sionki z szatnią, dalej mamy poczekalnię i drzwi do gabinetu urzędowego. Z poczekalni musi być przejście do korytarza służbowego. Gabinetik urzędowy łączy się np. w domu architekta, czy malarza, z pracownią, a ta — z gabinetem prywatnym, mogącym być zarazem biblioteką. W szeregu rozlicznych odmian przeróżnych planów, w układzie domu dąży się dziś jednak do tych samych zasad wygody i dlatego powstaje pewien rodzaj schematów niezmiennych.

Naprzykład wejście. Musi być sionka, z niej szatnia i klozet z umywalką, dalej hall, czy duży przedpokój i schody na górę. Tu musi być konieczne przejście do części domu, gdzie przebywa służba. Chodzi o to, by lokaj, idąc otworzyć drzwi wejściowe, nie defilował przez pokój, gdzie siedzą państwo i goście. Dawanie schodów oddzielnie z przedpokoju, a nie z hallu mieszkalnego, ułatwi pani, lub panu sytuację, gdy wróciwszy do domu, zastanie gości, a zachodzi potrzeba przebrania się.

W domu podmiejskim gra wielką rolę oszczędność miejsca, niekoniecznie przestrzegana na wsi. Zmniejszy się dom podmiejski o pokoje gościnne, niezbędne na wsi, gdyż tu zawsze się znajdzie niedaleko hotel z wolnymi pokojami. Co najwyżej jeden, lub dwa pokoje gościnne. Mniejsze też będą spiżarnie, bo poco zapasy i kłopot z ich przygotowywaniem, gdy niedaleko jest sklep, zaopatrujący we wszystko. Lecz pomimo tego trzeba jeszcze zmniejszyć pokoje, gdyż parcela rzadko bywa duża, a przyjemniej jest mieć więcej ogrodu, zieleni i przestrzeni koło domu. Gdy więc da się niewielki hall mieszkalny, a więc taki, w którym stanie i mała biblioteczka, i stolik do robót, czy biureczko, i parę miękkich mebli, należy go móc powiększyć, gdy będzie większe zebranie. Robi się wtedy szklane rozsuwane drzwi do sąsiedniego pokoju. Będzie nim najczęściej jadalnia, choć może być też pokój pani, lub pana.

Hall może mieć kilkoro takich szerokich, wsuwanych w ścianę, drzwi, na codzień zamkniętych, a nawet zasłoniętych portjera. W dniu uroczyste rozsuwają się, zgodnie ze staropolskim przysłowiem, ściany, i mamy jasne, przestronne, wnętrza mogące pomieścić sporą gromadkę gości. Co do jadalni, to dobrze jednak zawsze trochę ją izolować. Bo czy to nakry-

wanie stołu do kolacji, czy później zapach, choćby najlepszych potraw (gdy się rozwłóczy po mieszkaniu), — są przykre i nie mile. Dlatego najlepiej łączyć hall, nawet na codzień, z pokojem pana, szczególnie, jeżeli pokój ten jest biblioteką, i z pokojem pani, zastępującym salonik, tylko bez wdanej sztywnej etykiety i nieużywalności.

Górę przeznaczają się na pokoje sypialne. A więc pokój rodziców z ubieralnią, lub dwoma, i łazienką. No i pokoje dzieci. Muszą one mieć oddzielną łazienkę. Jest pewien kłopot z ulokowaniem tego pokoju, czy pokoi. Bo nie należy go nigdy umieszczać nad częścią, przeznaczoną dla gości, lub pracy. Gdy ojciec chce pracować w ciszy, lub matka przyjmuje poważną wizytę wpływowego osobnika, nagle na górze rozlega się piekielny hałas „jadącego pociągu“, lub płacz z powodu zbitej głowy, czy kolana. Znow wieczerem wesołe dźwięki bluesa, czy tango, płynące z głośnika radjowego, a choćby pocziwy fortepian — nie dadzą małym obywatelom usnąć po trudach dnia. Dlatego dobrze jest umieszczać dzieci ponad kuchnią, kredensem, pokojem lokaja, lub w dużym domu na parterze, w oddzielnym skrzydle, dostępnym z korytarza.

Skalę dla domu podmiejskiego mamy rozmaity. Najmniejszy domek będzie się składał z sieni, hallu, kuchni ze spiżarką, sionki i zmywalni, a na górze z dwóch sypialni z łazienką. Możemy kolejno dorzucać pokój dla służącej, pokój dla lokaja, pokój jadalny, pani, pana i t. d. Aż do 12-tu pokoi i więcej luksusowego domu milionera. Najmilszym dodatkiem nawet małego domu jest ogród zimowy. Może to być prostoprostu oszklona latarnia w hallu, w której się ustawia kwiaty. Może być mała łóża, wysunięta na zewnątrz, i może być cały pokój, weranda oszklona, lub nawet cała galerja. Daje się jej najczęściej kamienną podłogę. ściany maluje w żywe, barwne desenie, lub dekoruje roślinami; bardzo miłym jest urządzenie małego basenu z fontanną.

Mówi się dużo o schematyzowaniu domów, doprowadzeniu ich do jednego typu, o zmaszynowaniu. Czy rzeczywiście będzie to brzydkie, gdy się postawi wzdłuż ulicy szereg jednakowych domów? Szereg zgrabnych, białych willi, tonących w zieleni, o płaskich tarasach-dachach? Maisons en serie buduje się coraz częściej we Francji. Niemcy znają jeszcze z przed wojny ulice o jednakowych elewacjach; doprawdy, nie jest to wcale okropne, A nawet dużo lepsze od uliczki, powiedzmy, w Konstancinie, gdzie mamy obok willi szwajcarskiej, dworek polski, pałac maurytański, zamczek z tysiąca i jednej nocy i jeszcze parę okropności. Domy serjowe są piękne w swem spokoju, w rytmie, ciągle powtarzanym, a zawsze zmienianym ręką natury, gdyż coraz inne tło drzew i krzewów znajdzie się wokoło. Dom podmiejski jest przyszłością naszych miast.

Zygmunt Knothe.

Olbrymi kłopot zdejmuję matce z głowy  
książka p. t.

„KUCHNIA DZIECIĘCA“

zawierająca naukę racjonalnego odżywiania  
dziecka i przepisy potraw.

Cena 1 zł. 50 gr.

Wysyłamy tylko po nadeśnięciu należności

Tow. Wyd. „Bluszcz“ Warszawa, Plac Zamkowy 99.  
Konto P. K. O. Warszawa Nr 13.555.

## SKROMNY OBIAD PROSZONY

Jeżeli każda osoba, utrzymująca stosunki towarzyskie, jest wprost zmuszona czasem przyjąć u siebie, bodaj filiżanką herbaty z ciastem, lub filiżanką czarnej kawy, — to na zaproszenie na obiad, chociażby najskromniejszy, mogą sobie pozwolić tylko ci szczęśliwi, którym los dał mieszkanie własne, kuchnię własną, odpowiednią ilość naczyń stołowych, kuchennych, dobrą kucharkę, albo dobrą znajomość kuchni.

Obiad może być skromny, mogą się nań składać dania niewyszukane, niekosztowne, — ale koniecznie musi być obfity, — aby goście nie byli głodni, i bardzo smacznie ugotowany, — aby nie żalowali tego, że przyjęli zaproszenie. Oprócz strony kulinarnej na obiad udany, to jest taki, który robi przyjemność i gościom i gospodyni, składają się strona estetyczna i strona towarzyska zebrania. Estetyka powinna nami kierować, jak w nakryciu do stołu, tak i w podawaniu i dekorowaniu półmisek, w nakrajanu dań mięsnych i rybnych, ustawieniu kwiatów, lub zielonych roślin, we wszystkim, na czem oko gościa z przyjemnością spocząć może. A strona towarzyska polega na tem, aby przy obiedzie zebrać grono ludzi dobranych, lubiących siebie wzajemnie, widujących się z przyjemnością.

Jeżeli całe grono powinno być tak dobrane, aby nie było między niem żadnego dysonansu, jeszcze bardziej być powinny poszczególne pary. Bo przecież pod tym względem nie będziemy chyba imitowali Niemców i sadzali pań oddzielnie, a panów oddzielnie, lecz usadowimy wszystkich gości przeplatanych. Dla uniknięcia nieporozumień najlepiej zaopatrzyć każde nakrycie w wyraźnie napisaną kartkę, co zaoszczędzi zamieszania przy siadaniu i dobieraniu sobie sąsiedztwa. Taktowi gospodyni pozostawia się wykonanie odpowiedniego wyboru i doboru par. Dawniej, przy większych apartamentach, gospodarz domu wskazywał każdemu z panów, którą z pań do stołu ma prowadzić, dziś, w szczupłych mieszkankach powojennych, taki, skądinąd ładny pochód, wygląda zbyt ceremonjalnie, zresztą podawać ramię dla przekroczenia nawet już nie progę, gdyż go niema, — lecz jednych bodaj drzwi otwartych, nie warto. Przeważnie więc idą naprzód starsze panie, potem młodsze, nakoniec w takiejże kolejności panowie. A szkoda, te pary, posuwające się wolno, zajęte miłą rozmową, ładnie wyglądały, dodawały wdzięku obiadowi każdemu, i ponieważ miejsca u stołu były ułożone i oznaczone zgóry, pary te w porządku je zajmowały. Wiem, że niejedni i niejedna mruknęli niechętnie: „Wersal“! ja zawsze będę się przy tem upierała, że to nazywa się tylko: „kultura towarzyska“, i że wielką szkodą dla młodszego pokolenia jest to, że kultury tej nie cenią — no i nie znają prawie obecnie... Oprócz starannego doboru towarzystwa, należy też pamiętać o tem, aby na obiad nie prosić zbyt wiele osób, gdyż wiele potraw jest tylko wtedy smaczne, kiedy są przyrządzane w niezbyt wielkiej ilości, a wszystkie, układane zbyt długo, a głównie obnoszone zbyt długo stygną, co jest niepożądane. Oczywiście, w dużych kuchniach, gdzie jest kilku kucharzy i kucharek i w domach, gdzie jest kilkoro służby, podającej do stołu, można prosić na obiad tyle osób na ile miejsc w jadalni, naczyń, kryształów, sztuczków i bielizny starczy. Mówię tutaj o skromnych domach, o małej ilości służby, niedużej kuchni i jednej gotującej osobie. Osiem, dziesięć, najwyżej dwanaście

osób, — zawsze do pary. Mówiąc o zaproszeniach, nie mogę nie wspomnieć o tem, że na zaproszenie otrzymane należy natychmiast odpowiedzieć. O ile przy wieczornem przyjęciu nieobecność kilku, lub nawet kilkunastu osób nie stanowi dużej różnicy, nie przeszkadza dobrej zabawie innych, (naturalnie, kiedy chodzi o bridge'a, lub inną partję kartową, i tutaj odpowiedź w czas obowiązuje, aby nieobecność jednego gościa nie psuła zabawy innym i nie wprowadzała w kłopot gospodyni,) przy obiedzie brak jednej osoby stanowi poważną lukę, psuje kombinacje par itp.

Odpowiedź winniśmy dać dosyć wcześnie, aby gospodyni czas miała na miejsce niezajęte kogoś innego wynaleźć i zaprosić. Jeżeli menus (jadłospisy,) po wojnie stały się skromniejsze i krótsze, to, naodwrot, elegancja nakryć ogromnie wzrosła.

Jeżeli sreber prawdziwych mało widujemy, jeżeli porcelana i kryształy są skromniejsze, to samo nakrycie coraz bardziej się staje wypracowane i eleganckie. Zaczniemy od bielizny stołowej. Ta do obiadu może być wyłącznie biała. Wszelkie kolorowe obrusy zostawiamy do śniadań i podwieczorków. Ale zamiast cienkich, adamaszkowych obrusów naszych matek, mamy teraz najrozmaitsze kombinacje haftów Richelieu i angielskiego, filet-guipure i koronek klockowych, rozmaitych arcydzieł pracowitości i pomysłowości, że obrus współczesny sam przez się stanowi już wspaniałe przykrycie stołu, tak nieraz wspaniałe, że szkoda go nakrywać kwiatami, paterami z owocami, deserem itp.

Serwetki, zawsze dobrane do obrusa, są bardzo małe, nie takie, jak dawniejsze, co to smakosze, na mniej ceremonjalnych przyjęciach, zawiązywali sobie na szyję, a panie rozkładały na kolanach, aby sukien nie poplamili. Taką serwetką można sobie przy końcu obiadu otrzeć usta i końce palców.

Pod taki ażurowy obrus, o ile stół jadalny nie jest mahoniowy, lub palisandrowy, polerowany, kładzie się przeważnie jakiś podkład kolorowy. W wielu domach stół jadalny, poza posiłkami, jest stale przykryty zielonem, granatowem, lub wiśniowem sukniem, w takim razie podkład jest zbyteczny. Obrus się kładzie wprost na sukno. Na takim suknie zmiana talerzy i kieliszków odbywa się zupełnie cicho, co też jest zaletą: szcęknięcie naczyń przy zmianach nie dodaje uroku rozmowie. Przy wystawniejszych przyjęciach, stół się ubiera kwiatami w koszach, wazonach, rozrzuca się po nim cięte wiązanki i kwiaty pojedyncze. Przy skromnem przyjęciu, o jakim tu mówimy, wystarczy jakiś bukiet w środku stołu, a nawet wprost wazon z ładną, zieloną rośliną, na przykład bujna paproć. Stół bez roślin smutnie wygląda. Talerze ustawiamy w takich odstępach, aby każdy z gości mógł swobodnie się poruszać jedząc, nie zawadzając łokciami o sąsiada, odstęp taki jest 60—70 centymetrów. Płaskie talerze, dla oszczędności pracy przy zmianie, można stawiać odrazu po dwa. Z prawej strony na podstawce metalowej, lub szklanej, co oszczędza ogromnie czystość obrusa, kładziemy nóż, widelec i łyżkę. Po lewej stronie kładziemy serwetkę, przykrywając ją dwoma kawałkami chleba, jeden żytniego, drugi przemiennego. Co kilka nakryć stawiamy małe solniczki z solą, w takich odstępach, aby każdy mógł po nią łatwo sięgnąć. Przed talerzami stawiamy kieliszki do wina, jeżeli ma być podawane, lub wąskie, wysokie szklane do piwa.

Pozwolę tu sobie zrobić uwagę, że od czasu, kiedy mamy wyborne krajowe wina owocowe, nic w smaku

nie ustępujące francuskim, nie mogą dosyć gorąco polecać ich użycia nawet przy skromnych obiadach — wino podnieca dowcip, daje dobry humor, piwo działa obciążająco i sennie, dowcipy niemieckie są tego najlepszym dowodem. Oprócz kwiatów, lub zamiast nich, stawia się na stole klosz z owocami, salaterki z sałatą i koszyk, lub koszyki, z chlebem. Po prawej też stronie talerzy, na wysokości kieliszków, stawia się mały talerzyk na paszteciki, jeżeli te mają być podane do zupy, lub na kompot, czy sałate do pieczystego, w ostatnim razie na talerzyku leży mała łyżeczka do kompotu. W poprzek, między talerzem a kieliszkami, kładziemy łyżkę deserową do leguminy.

Potrawy powinny być obnoszone i podawane gościom z lewej strony. Przy bardzo bezceremonjalnych przyjęciach pani, lub pan domu, nakłada gościom na talerz i gotowe talerze służba podaje. We Francji szczególnie to jest we zwyczaju, gdyż tam pan, czy pani, kraja sami przy stole pieczyste, co może nie jest bardzo eleganckie, lecz za to rozbeł, czy pularda nie stygna przy krajaniu w kuchni i przy przenoszeniu półmiska do jadalni. Nie mam tu dosyć miejsca na szersze omawianie dań obiadowych. Skromny obiad może się składać z zupy z pasztecikami, jakiejś lekkiej potrawy — vol au vent, pasztetu, majonezu, krokietów z sosem, muszelek, — lub, jeżeli ma być cięższy, sztuki mięsa z obfitym garniturem, ozora, szynki i t. p., zawsze z garniturem i sosami; z pieczystego z dodatkiem jarzyn, jeśli pierwsze danie po zupie było lekkie, z sałatą i kompotem, jeśli mieliśmy już solidną potrawę. Legumina powinna zawsze być zastosowana do reszty obiadu. To jest, jeśli mieliśmy, na przykład, zupę ciężką pomidorową, paszteciki z mięsem, szczeniaka faszerowanego i rozbeł z jarzynami, na deser lepiej dać lody, galarete, krem, lub mieszany kompot. Jeśli był czysty rosół i małe vol au vent we francuskim cieście z móżdżkami, majonez, lub potrawa z kurcząt, zając z kompotem, to pożądanem będzie na leguminę jakiś budyń z szodonowym sosem, wafle z kremem, suflet ze śmietaną, czyli jakaś pożywna i goraca legumina.

Przekąski ostrej przy obiedzie nigdy nie należy podawać na tym samym stole, — jeśli są to kanapki, — najpraktyczniejsze, — podać je na oddzielnej tacy wraz z wódkami, przed udaniem się do jadalni. Jeśli przekąski są obfite, ustawić je na oddzielnym stoliku, przy nich małe talerzyki, widelce, nożyki, wódki i kieliszki do nich. Przekąski, spożywane przy jadalnym stole, robią szalony nieporządek. Przy obiadach rodzinnych, bezceremonjalnych, możemy jadłospis zmienić w sposób następujący: zamiast od zupy, zacząć obiad od kołdunów, kiełbasy z kapustą, flaków z pulpetami, kulebiaki w drożdżowym, lub francuskim cieście, lub rosyjskich blinów. Wtedy po nich się podaje rosół czysty, lub barszcz, nawet nie na talerzach, lecz w filiżankach i jakieś lekkie pieczone: kurapatwy, kurczęta i t. p. Przy dobrych apetytach można podać kaczkę z jabłkami, pulardę, indyczkę, lub nawet polędwicę z garniturem. Legumina oczywiście lekka i zimna. Przy takim skromnym obiedzie o dużej różnorodności win mowy być nie może. Jednak jeżeli nalewamy wino po zupie, należy dać madere, lub węgrzyna, po rybie — lekkie białe, po pieczystym — czerwone. Może być zresztą do wyboru przez czas cały czerwone, czy białe. Aby nie siedzieć zbyt długo przy stole, kawę zawsze lepiej podać do salonu, lub gabinetu, do niej koniak i likier, lub, co najzdrowsze, likiery i nalewki domowe. Gdyby jeszcze nasi goście,

panie i panowie, zechcieli dopiero po wyjściu z jadalni zapalić papierosy, — nieliczni nie palący mieliby prawdziwie przyjemny obiad, — gdyż nic nie może być okropniejsze dla niepalących, jak łykanie dymu sąsiadów, jako przyprawę potraw.

Pani Elżbieta.



## KURSA NAUKOWEJ ORGANIZACJI GOSPODARSTWA KOBIECEGO

Wciąż mówimy o naukowej organizacji gospodarstwa kobiecego, o konieczności stosowania jej wobec coraz gorszych stosunków ekonomicznych, coraz większego braku wykwalifikowanej służby, a stąd płynącej coraz większej pracy, spadającej na panią i gospodynię domu. Ale z kąd zaczerpnąć praktycznych w tym kierunku wiadomości? Zaledwie znikoma ilość naszych pań i panien może wyjechać na studia tego rodzaju zagranicę. W kraju żadnej uczelni takiej nie mamy. Metody zagraniczne nie dają się zresztą często zastosować do naszych warunków.

Szczególne najbardziej znane, dzięki przetłumaczonej przez przewodniczącą Ziemiarek, panią Aleksandrę Grzybowską, książce Christian Frederick, prawie zupełnie w tej formie, jak tam, stosowane być nie mogą. Lepsze są już metody szkół gospodarczych Belgijskich, — studia w Belgii jednak są i kosztowne, i bardzo utrudnione ze względu na to, że cudzoziemki do tamecznych szkół niechętnie są przyjmowane. Najlepsze może są czeskie, najbardziej do naszych potrzeb i stosunków przystosowane, — ale, wielkie ale, — które u nas zna pokrewny i może łatwy do opanowania, język czeski.

Żeby chociaż pobieżnie spopularyzować wiadomości z dziedziny naukowej organizacji gospodarstwa kobiecego, Stowarzyszenie Zjednoczonych Ziemiarek, w porozumieniu i łącznie z Instytutem Naukowej Organizacji Pracy ma zamiar w lutym urządzić takie kursa naukowej organizacji gospodarstwa kobiecego, przyczem, w tych pierwszych w Polsce kursach tego rodzaju, potrzeby domów na wsi będą szczególnie uwzględnione.

Program tych kursów, mających trwać tydzień i zajmować po dwie godziny dziennie, ma objąć:

- 1) Ogólne zasady naukowej organizacji pracy;
- 2) Rozwój tego ruchu, ze szczególnem uwzględnieniem gospodarstwa domowego.
- 3) Metody znormalizowania pracy w domu.
- 4) Przykłady racjonalnej organizacji domu. Po wykładach — ustne i piśmienne ćwiczenia praktyczne, rozwiązywanie zadań na zadane tematy. Wykłady te są skupione w jednym tygodniu, aby ułatwić ich wysłuchanie paniom przyjezdnym, — w samej jednak Warszawie wzbudzają ogromne zainteresowanie, i obie organizacje, które je zapoczątkowały, są już teraz zasypywane pytaniami o czas i warunki tych wykładów, co daje nadzieję olbrzymiej frekwencji.

Pani Elżbieta.

## Przepisy Gospodarskie



## PIECZEŃ WIEPRZOWA SMACZNA

Kilo lub więcej wieprzowiny od pieczenia, zbitej i osolonej na masle, osypać cebulą, włoszczyzną drobno krajaną, wrzucić kilka ziarn pieprzu i ziela, listek, włożyć parę dużych, dobrze dojrzałych pomidorów, lub ze dwie łyżki dobrej pomidorowej konserwy, wlać szklankę wina czerwonego, lub białego, (może być i owocowe), dusić na bardzo wolnym ogniu, aż pieczeń zmięknie. Pokrajać w cienkie plastry, obłożyć kartoflami z wody, sos zaprawić łyżeczką mąki, zagotować; gdyby go było zbyt mało, rozprowadzić kilkoma łyżeczkami rosółu, lub w ostateczności wody, przetrzeć przez sito i polać nim pieczeń. Podawać bardzo gorącą.

## KIEŁBASY DO SMAŻENIA

Nawet w mieście, o ile się ma maszynkę do mięsa i można nabyć kiszki do kiełbas, można zrobić w domu świeże kiełbasy, dużo zawsze smaczniejsze od kupnych. Należy tylko przystosować do maszynki rurkę metalową, służącą do napychania kiełbas, którą w każdym prawie składzie, gdzie sprzedają maszynki, nabyć można. Wziąć dobrej wieprzowiny, z młodej sztuki, w stosunku trzech części chudego mięsa na jedną słoniny. Pokrajać ostrym nożem jaknajdrobniej, nie siekając jednak, ani tembardziej nie przepuszczając przez maszynkę. Na cztery kilo już pokrajanego mięsa wziąć dwanaście deka soli, 1 deko pieprzu i ziela, utartego majeranku. Z kości i skórek wygotować mocny rosół, ostudzić i wlać dwie, do dwóch i pół szklanek tego rosółu, nakoniec dodać ćwierć kilo utartej na tarce cebuli. Wyrobić wszystko ręką doskonale. Wyjąć z maszynki noże, przyprawić rurkę.

Na rurkę wciągnąć do końca całą kiszkę. Włożyć część mięsa do maszynki, pokręcić, gdy mięsa nieco wyjdzie z maszynki, zawiązać na niem koniec kiszki. Nakładać mięso do kiszki niezbyt tęgo, aby nie pękały w smażeniu. Poprzewiaływać w kółka, licząc mniej więcej kółko po pół kilo. Wrzucić na godzin parę w zimną wodę.

Po wyjęciu z wody, powiesić na drążku i wynieść do zimnej szpiżarni. Wisieć tak mogą przez parę tygodni. Biorąc do użycia postępować z niemi, jak następuje:

Do płaskiego, rondla lub rynienki glinianej położyć cienko krajanych płatków świeżej słoniny, na to położyć kiełbasy, zalać kwasem (barszczem) burakowym, lub piwem po połowie z wodą, wstawić do pieca i piec podlewając, własnym sosem, aż się doskonale uduszą. Podawać z sałatą z kwaszonej kapusty zaprawionej oliwą i cukrem.

## ANYŻÓWKA

Dużą garść anyżu, laskę cynamonu, cztery goździki i skórkę żółtą, skrajaną z cytryny, zalać litrem spirytusu i litrem przegotowanej wody. Potrzymać miesiąc w cieple. Przepędzić przez watę lub flanelę, — kto lubi, może lekko osłodzić rozpuszczonym cukrem, — przelać do butelek i trzymać ze trzy miesiące, zanim się zacznie używać.

## KOMPOT Z SUROWYCH JABŁEK

Jabłka dojrzałe i bardzo kruche, najlepiej dobre renety, lub antonówki, obrać ze skórki i poszatkować jaknajcieniej. Ułożyć na salaterce, przesypane obficie cukrem, wymieszać dobrze. Trzymać tak w pokojowej temperaturze godzin dziesięć, często mieszając. Gdy cukier się zupełnie roztopi, ubrać po wierzchu jakimi bądź konfiturami i zalać kieliszkiem likieru „marasquino“, „abricotine“ lub waniljowego.

## CUKIERKI MARCEPANOWE

Dwadzieścia deka migdałów słodkich i kilka gorzkich sparzyć wrzątkiem, potrzymać godzin parę, oczyścić z łupinek i tłuc w moździerzu, najlepiej kamiennym, dodając po trochu białka z dwóch jaj. Dodać czterdzieści deka cukru, pudru, i trzy deka smażonej skórki pomarańczowej, drobno pokrajanej. Tłuc dalej, aż masa stanie się zupełnie jednolitą. Robić z tej masy gałeczki, lub też rozwałkować ją na stolnicy, posypanej pudrem cukrowym, i wycinać foremkami małe figurki, ułożyć na blachę i upiec w letnim piecu, aby tylko nieco uschły.

## PLACEK Z MAKIEM.

Pół litra mąki rozczynić letnim mlekiem i 3 deka drożdży, gdy rozczyn ruszy, osolić, wbić cztery jaja, ubite ze szklanką cukru, wsypać drugie pół litra mąki, wyrabiać przynajmniej przez dwadzieścia minut. Włożyć sporą łyżkę surowego masła i wlać kilka kro-

Już wyszła z druku

oczekiwana przez tysiące pań książka

Dr. med. Julji Świtalskiej p. t.

„PIĘKNOŚĆ I ZDROWIE  
W ŻYCIU KOBIETY“  
(Higjena kosmetyczna)

Nieocenionej wartości zbiór najważniejszych wiadomości z zakresu higieny kobiecej, nauka masażu twarzy, biustu etc.

Cena egz. 5 zł.

Wysyłka tylko po nadesłaniu należności.

Tow. Wydawnicze „Bluszczy“, Warszawa, Krak. Przedm. 99.  
Konto P. K. O. Warszawa Nr. 13.555.

pel olejku cytrynowego, lub migdałowego. (Zamiast olejku można użyć cal wanilji, utłuczonej z cukrem). Pół kilo maku sparzyć wrzątkiem, po kilku godzinach odlać, utrzeć w makutrze, lub przepuścić przez maszynkę, dodać kilka gorzkich migdałów utłuczonych, łyżeczkę masła, szklanekę cukru i dwa całe jaja. Ciasto podzielić na pięć równych części. Jedną rozwałkować cienko i wyłożyć niem dno długiej formy do placków, posmarować makową masą, położyć znów ciasto, znów masę, górna warstwa winna być z ciasta. Postawić w ciepłe, aby wyrosło. Przed wstawieniem do pieca posmarować żółtkiem i posypać suchym makiem. Upiec w dobrze gorącym piecu.

Pani Elżbieta.

## DOBRE RADY

Przy panującej obecnie epidemji grypy, dobrze jest wiedzieć o niewinnym, a bardzo skutecznym środku dezynfekcyjnym, oczyszczającym powietrze w mieszkaniu: 3 deka olejku terpentynowego zmieszać z 10-ma deka benzyny i 3-ma kroplami olejku cytrynowego — dobrze zmieszać i rozpylać, albo maczać bibułę i stawiać na talerzykach po kątach pokoju.

\* \* \*

Pokryte skórą krzesła, sofy, a także torby podróżne czyszczą się białkiem, ubitem na pianę, którą smarować należy skórę równo pędzelkiem i pozostawić do wyschnięcia. Przed smarowaniem naturalnie dobrze oczyścić meble z kurzu.

## KORESPONDENCJE

Pani K. G. w Mszczonowie. Tulipany hoduje się jak hiacynthy—opis hodowli tych ostatnich podaliśmy w Bluszczu w Nr. 2 roku bieżącego. Kompletem Dziecka i Matki możemy Sz. Pani służyć po otrzymaniu należności w sumie zł. 7. Crêpe de Chine, wyprany i wyczyszczony z plam, farbuje się na zimno farbami Krausego podług umieszczonego na nich przepisu.

Pani Z. J. w Mławie. W kwestji wełniaków zechce Sz. Pani porozumieć się z następującymi firmami; Krąkowska—Al. Ujazdowskie 36. Przemysł ludowy—Tamka 1. Dom Łowicki—Ossolińskich Nr. 1.

Pani T. M. w Dukaszach. Przepis, o który Sz. Pani prosi, jest następujący: 15 dk. świeżego deserowego masła, szklaneczkę od piwa cukru pudru i jedno całe jajko uwiercić na śmietanę, dodając parę kropel olejku migdałowego. Na końcu wsypać 40 dk. płatków owsianych, dobrze wymieszać i kłaść łyżeczką małe kupki na opłatkach, lub blachach, podsypanych mąką. Wstawić w ciepły piec i trzymać, póki się lekko nie zrumieni.

Sposób drugi: 20 dk. Herkulo, łyżkę mąki pszennej, szklaneczkę od piwa cukru, pudru, łyżkę masła klarowanego, jedno żółtko, jedno białko na pianę ubite, jedną łyżeczkę proszku Oetkera i sok z jednej cytryny — zmieszać lekko, kłaść małe kupki na papierze, woskiem wysmarowanym, — piec w ciepłym piecu, póki się nie zrumieni.

Matce z Lubelskiego. W kwestji szkoły sztuki stosowanej niech Sz. Pani zwróci się do pani Onichimowskiej — Warszawa, Krucza 19, lub do Miejskiej szkoły sztuki zdobniczej i malarstwa—Warszawa, Wierzbowa 11.

Pani A. C. w Stryju. Sposób robienia i farbowania kwiatów z piór — podaliśmy w Bluszczu r. z., stronica 1101 w sprawie rzeczy.

Pani J. H. Siedlce. Wełną w dobrym gatunku haftować można — prana umiejętnie, nie puści. Trzeba prac w letnim mydliku, a kolor nie zmieni się — do płókania wziąć do wody trochę mocnego octu i soli.

Już wyszedł z druku znakomity ilustrowany podręcznik, niezbędny dla każdej dobrej gospodyni

p. t.

### „ODNAWIANIE MIESZKAŃ I PORZĄDKI DOMOWE“

CENA 1 zł. 50 gr.

Wysyłamy tylko po otrzymaniu należności.

Tow. Wydawn. „Bluszcz“, Warszawa, Plac Zamkowy 99.  
Konto P. K. O. Warszawa № 13.555.

Każda Pani nauczy się wszystkich modnych haftów z podręcznika

p. t.

### „HAFT KOLOROWY“

który podaje sposoby wykonania ściegów i wzory haftów naturalnej wielkości.

CENA 1 zł. 50 gr.

Wysyłamy tylko po otrzymaniu należności.

Tow. Wydawn. „Bluszcz“, Warszawa, Plac Zamkowy 99.  
Konto P. K. O. Warszawa № 13.555.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna . . . . .	zł. 3.50
suknia zwyczajna . . . . .	„ 2.50
bluzka . . . . .	„ 2.00
formy dziecinne . . . . .	„ 2.00
bielizna . . . . .	„ 1.50

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrus — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi, które były umieszczane w „Bluszczu“, nie wysyłamy.

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: WANDA PEŁCZYŃSKA (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW  
Redakcja i Administracja, Warszawa, Krak. Przedm. 99. tel. 239-40. Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ“ Rymarska 8, tel. 244-18.